

Tygiel Kultury 1 (235) 2021

miasta świętej Eufrozyny – wielokrotnie, upatrując właśnie w podziemiach klucz do zrozumienia Białorusinów i metaforę ich losu („Przycupnąć nisko przy ziemi i czekać” – charakteryzuje w pewnym momencie białoruską strategię przetrwania). Niewykluczone jednak, że – jak mówi mu wprost jeden z bohaterów – szuka czegoś, czego już nie ma. A może nigdy nie było?

2.

Podczas wakacyjnego wypadu na Białoruś w lipcu 2013 roku zatrzymaliśmy się na dłuższą chwilę na uroczysku Kuropaty na skraju Mińska. Znajdują się tam masowe groby ofiar stalinizmu, upamiętnione setkami krzyży. Mężczyzna, który do nas podszedł, odnawiał właśnie jeden z nich. Przedstawił się jako działacz Białoruskiego Frontu Ludowego (jedna z najbardziej zasłużonych partii politycznych, filar opozycji) i zadeklarował, że mówi tylko po białorusku. Jak niemal wszyscy napotkani Białorusini zapytał, jak nam się podoba.

– Mówicie, że czysto i porządek... – wyraźnie nie takiej odpowiedzi oczekiwał. – W Korei Północnej też jest czysto i porządek.

Trudno było się z nim zgodzić. Oczywiście, władze dbają o centra miast, zwłaszcza Mińska, traktując je jak wizytówkę, ale białoruska schludność nie ma w sobie nic na pokaz. Chałupka na wsi pod Brześciem czy Pińskiem może chylić się z biedy i starości, ale będzie odmalowana i obowiązkowo ukwiecona, a obejście wysprzątane. Na przystanku autobusowym na bocznej drodze pod Mohylewem nie znajdziemy papierka czy pustej butelki (niezwrotnej) – wszystkie lądują w koszu. Nad jeziorami jedynym śladem po setkach biwakujących jest wygnieciona trawa i zgarnięty na kupkę popiół z ogniska.

Z Białorusi jechaliśmy do Rosji. Na przejściu nie było wtedy żadnej kontroli, ale nawet, gdyby przegapić graniczną infrastrukturę, żegnające i witające podróżnych plakaty oraz znaki drogowe, to wałające się wszędzie odpady, złom czy przydrożne rudery nie pozostawiłyby wątpliwości, że znaleźliśmy się w innym kraju.

Podróżując wspominaliśmy słowa Tadeusza Konwického z książki *Kalendarz i klepsydra*: „Białoruś, Białoruś. Dlaczego nazywasz się



fot. Marcin Bałczewski 

i trzydziestych. ubiegłego wieku, gdy państwo bolszewików okrzepło, Stalin przestawił wajchę: „Wydawało się, że nie można aresztować języka. Można aresztować wszystko i każdego, ale nie język. Białoruski jednak zamarł”. Na narodowej nucie próbowali grać jeszcze okupujący Białoruś hitlerowcy, ale do przestrzeni publicznej język białoruski wrócił na dobre dopiero po uzyskaniu niepodległości. Na dobre? Też nie do końca: „Wojna języków nie ustała. Wisi w powietrzu, trwa w słowach. Rozgrywa się w pierwszym zdaniu przypadkowego dialogu dwojga nieznanym sobie ludzi: jeden zagaja po rosyjsku, drugi uparcie po białorusku, i już wszystko wiadomo”.

W poszukiwaniu źródeł białoruskiego ducha Marczewski sięga wreszcie do legend i mitów. Tropi tytułowe koliste jeziora, łączone z dawnymi miejscami kultu słowiańskiego plemienia Krywiczów, przytacza podania o zatopionych wioskach. Z uporem penetruje podziemia w pradawnym Połocku – te rzeczywiście istniejące i te wyobrażone w literaturze i podaniach. Wraca do nich – oraz do postaci pochodzącej z tego

1.

Cytowany przez Marczewskiego białoruski politolog i filozof Aleś Ancipienka uważa, że „projekt budowania narodu” pozostaje niedokończony: „Z tego powodu Białorusini mają problem z samookreśleniem. Do tego dochodzi problem z położeniem geopolitycznym. Znajdujemy się między Europą a Rosją. Ponad osiemdziesiąt procent obywateli naszego kraju określa siebie jako Białorusinów, jednak większość powołuje się na miejsce zamieszkania, a nie historyczną czy kulturalną odmienność. Nasz kraj to arena najprzeróżniejszych pomysłów na to, kim jesteśmy i jaką należałoby przyjąć strategię względem kultury Wschodu i Zachodu”. A spotykani przez autora mińscy „młodzi wykształceni” z jednej strony tęsknili do zachodniej demokracji, z drugiej jednak uważali się – świadomie bądź nie – za część „ruskiego miru” (trudno powiedzieć, czy i jak zmieniły te nastroje wypadki 2020 roku).

Marczewski szuka białoruskości na różne sposoby i w wielu wymiarach. Tropi ją w ludziach, ich zachowaniu i pamięci, w krążących dowcipach, nawet w krajobrazie. Śledzi przejawy polityki historycznej i państwowotwórczej propagandy. Oglądając plakaty z hasłem „Razem jesteśmy Białorusią” dochodzi do wniosku, że państwo musi przypominać ludziom, kim są, a konstatując fakt, że częściej niż uczonych czy artystów upamiętnia się tam żołnierzy – przy czym zwykle są oni bezimienni, anonimowi – zauważa, że na Białorusi są pomniki, ale nie ma bohaterów.

Pochyla się też nad historią języka białoruskiego, przy czym interesuje go jego percepcja, nie rozwój form gramatycznych. „Przez stulecia białoruski był uważany za prymitywny sposób komunikacji nizin społecznych; lokalny dialekt, którego ludzie z miast nie rozumieli. Potem wszystko się zmieniło. W XIX wieku młodzi inteligenci ze szlacheckich dworów, zdziwieni narzeczem, jakim mówią chłopci, z zaciekawieniem pochylali się nad miejscową składnią. Zachodzili w głowę, jak to możliwe, żeby ten relikw przetrwał, docierało do nich, że w tym, jak mówią ludzie, kryje się tajemnica miejsca. Z tych namysłów i romantycznych dążeń, według niektórych, wyrosła dzisiejsza Białoruś”. W ZSRR język białoruski cieszył się początkowo pełnią praw, ba, przeżył swój rozkwit (polityka tzw. białorutenizacji). Ale na przełomie lat dwudziestych

Wojciech Górecki

NIEUCHWYTNA BIAŁORUSKOŚĆ

To było w Brześciu. Początek 2020 roku, dwa dni do prawosławnej wigilii. Późny sobotni wieczór. Kilkuosobowa grupka młodzieży nie zwracała na siebie uwagi. Dopiero, gdy nas mijali, usłyszeliśmy przytłumioną rozmowę, jakieś chichoty. Dało się wyczuć lekki zapach alkoholu. Grupka doszła do przejścia i stanęła przed czerwonym światłem. Oczywiście nic nie jechało, nawet w ciągu dnia nie było w tym miejscu dużego ruchu. Ale nikt nie drgnął, dopóki nie zaświeciło się zielone. Przypomniała mi się ta scena parę miesięcy później, gdy śledziłem telewizyjne relacje z protestów w Mińsku. Ludzie, którzy wchodzili na ławki, podkładali sobie pod nogi gazety, kilkuset tysięczne manifestacje nie zostawiały po sobie żadnych śmieci.

Niemcy słowiańszczyzny? A może, jak twierdzi Alaksandr Łukaszienka, Rosjanie ze znakiem jakości? Mateusz Marczewski, autor książki *Koliste jeziora Białorusi*, zanotował: „Na pytanie *kim jesteście* [Białorusini] odpowiadają tak, jakby chcieli przejrzeć się w oczach innych. [...] Wszystko to mgliste i niejasne”.



- recenzja** Andrzej Strąk **Gawędziarski wdzięk** / 205
Małgorzata Warzecha **Moja służba Niepodległej** / 207
- recenzja** Wojciech Ligęza **Emocje i empatia. O szkicach krytycznych
Michała Piętnewicza** / 210
- felieton** Lucyna Skompska **Od róż do liter** / 214
- poezja** Andrzej Strąk **Polski Ład** / 217

**Nowości wydawnicze Domu Literatury w Łodzi
i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich** / 220

Odeszli / 229

Autorzy numeru / 243

- Viera Żybul
*** **(Przywidziało się)** / 92
- Aksana Sprynczan
*** **(na balkon biały)** / 93
- Sabina Brilo
*** **(poczucie humoru nas wyręczało)** / 94
*** **(- Mamo, kim są ci wszyscy ludzie)** / 95
- Olga Markitantowa
*** **(Nauczyłam się jeść, odczytałam się spać)** / 96
- Andrzej Strąk **Andrzej Kuciła. Białoruski dokumentalista** / 97
- Magdalena Roguś **Re-animacja białoruskiej animacji –
polifoniczna opowieść wokół tożsamości niezależnego,
zaangażowanego kina animowanego na emigracji** / 101
- Zmicer Waynowski **Protesty na Białorusi – galeria zdjęć** / 109
- proza** Zbigniew Kruszyński **Piesza miłość** / 119
- poezja** Lula Sarnia
presja / 163
memy / 163
pańsidła / 164
to nic, że cię miałam na celowniku / 168
bezdech / 168
- Tomasz Filipczak **Kamyczki. Żeby nie uciekły (III)** / 171
- recenzja** Łukasz Kaczyński **Skraj. O Festiwalu
Retroperspektywy 2021** / 177
- Marcin Bałczewski **Najciekawsze (i najważniejsze)
komiksy 2021 roku** / 185
- recenzja** Piotr Gajda **Imagine po polsku** / 198
- recenzja** Anna Mochalska **W pieskim świecie pieskie sprawy. O Mondo
cane Jerzego Jarniewicza** / 201

Spis rzeczy

- Wojciech Górecki **Nieuchwytna białoruskość** / 7
- proza** Uładzimir Niaklajeu **56** / 16
- Dominika Łarionow **Intelligent dans music** / 34
- My wołamy, wy nagłaśniacie** – rozmowa
z Andrejem Chadanowiczem i Swiatlaną Kurs / 51
- poezja** Uładzimir Lankiewicz
- Sześć wierszy z jesieni 2020 roku* / 56
- poezja** Julia Cimafejewa
- Kamień strachu* / 63
- Język to więzienie* / 66
- Ziemia Królowej Maud* / 68
- Sztuka bez powrotu** – rozmowa z Jenią Vladimirową, białoruską
artystką intermedialną / 70
- Prace Jenii Vladimirovej** / 75
- Irina Lappo **Drama i chwała teatru białoruskiego:
generacja RU** / 80
- poezja** Wiersze białoruskich poetek:
- Hanna Komar
- Plac Niepodległości* / 88
- W naszej celi* / 89
- Tańciana Skarynkina
- Bogowie patrz z ciekawością* / 90
- Inessa Gankina
- *** (Miasto, w którym przyszedłeś na świat)** / 91

Tygiel Kultury 1 (235) 2021

Redaktor naczelny: Andrzej Strąk

Redakcja: Marcin Bałczewski, Rafał Gawin, Robert Rutkowski, Mateusz Sidor

Projekt graficzny i okładka: Jakub „Hakobo” Stępień

Skład: Magda Ebert

Adres redakcji: Dom Literatury w Łodzi, Roosevelta 17, 90-056 Łódź

tel. (42) 633 68 38

e-mail: tygiel@dom-literatury.pl

strona internetowa: www.tygielkultury.org

ISSN: 1425-8587

Wydawca: Dom Literatury w Łodzi, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział w Łodzi

Numer powstał dzięki wsparciu finansowemu Urzędu Miasta Łodzi



Białoruś, jeśli nie masz w sobie bieli, jeśli bielą twoją są rude rżyska jesienne, jeśli bielą twoją są postawy szarego płótna wyłożone na słońcu, jeśli bielą twoją jest gorący pot umęczonych ludzi. Powinnaś się nazywać Dobroruś, powinnaś się nazywać Dobrą Ziemią Dobrych Ludzi”. A białorusko-polski pisarz Sokrat Janowicz stwierdził w jednej ze swoich książek, że Białoruś jest „za dobra, za łagodna jak na nasze czasy”.

3.

Andrzej Brzeziecki i Małgorzata Nocuń, autorzy biografii Alaksandra Łukaszenki, napisali wprost, że jest on politykiem wybitnym. „Ostatni dyktator Europy” utrzymuje się u władzy już niemal trzy dekady – funkcję prezydenta kraju sprawuje od lipca 1994 roku. Powiedzmy sobie szczerze: samo wsparcie ze strony Kremla, zresztą wsparcie warunkowe, nie zapewniłoby mu tak długich rządów.

„Łukaszenka nie byłby w stanie utrzymać się przy władzy, gdyby nie rzesze podległych mu i wspierających go ludzi – czytamy. – Na marsze i akcje protestu [w 2020 roku] wychodziły setki tysięcy ludzi, ale miliony nie protestowały”. A w innym miejscu: „Obok tych dwóch Białorusi, oficjalnej i alternatywnej, żyli tu jednak także ludzie, którzy nie utożsamiali się z reżimem ani z opozycją [...]. Póki są syci, opowiadają się za «stabilizacją»”. Jedną z takich osób jest skrzypaczka, mieszkająca na nowoczesnym osiedlu dla ludzi kultury, położonym co prawda na obrzeżach miasta, ale za to przy stacji metra. Autorom książki mówi, że to „Łukaszenka nam wybudował, tanio wykupiliśmy” i że „żyć jakoś trzeba”.

Brzeziecki i Nocuń twierdzą, że szansę na prezydenturę dał Łukaszence rozpad ZSRR, choć potem będzie on budował swą popularność na nostalgii za sowiecką małą stabilizacją: „Być może zakrawa to na kpinę historii, ale tak jest naprawdę: Aleksander Łukaszenka zawdzięcza swoją karierę pierestrojce Michaiła Gorbaczowa. Tej samej pierestrojce, która milionom ludzi w innych krajach przyniosła wolność i nadzieję na lepsze jutro. Na Białorusi z pierestrojki skorzystał tylko jeden człowiek”.

Kluczem do zrozumienia więzi pomiędzy dyktatorem a jego państwem wydają się słowa opozycyjnej dziennikarki, która jest przekonana,

że Łukaszenka naprawdę kocha Białoruś i czuje wobec niej wdzięczność: „Niewiele jest krajów, w których biedny chłopiec ze wsi, z niepełnej rodziny, miałby szansę zostania prezydentem”.

4.

Jeździliśmy z Kasią na Białoruś, by odnaleźć atmosferę dawnych Kresów. W miasteczkach na zachodzie kraju – Nowogródku, Słonimiu czy Różanie – wielokulturowość jest, albo do niedawna była, stanem naturalnym. Cerkwie sąsiadują tam z kościołami, synagogi z meczetami, cmentarze polskie z litewskimi. Przy odrobinie szczęścia można spotkać staruszka, który otworzy nam kryptę w cmentarnej kaplicy i opowie o dawnych czasach. Często nie ma innych zwiedzających, co nawet na sąsiedniej Ukrainie już się prawie nie zdarza. Przed wojną w tych miasteczkach żyli obok siebie Białorusini, Polacy, Żydzi, Tatarzy, Poleszucy, Nadberezyńcy, rozmaici Tutejsi, Miejscowi, Swoi. Każdy pozostawał sobą, ale wiedział, że obok są ludzie, którzy się inaczej ubierają, co innego jedzą, obchodzą inne święta. Na takim podglebiu wyrósł choćby Ryszard Kapuściński. I z tego podglebia czerpie także soki współczesna Białoruś – niezależnie od topornej propagandy, odwołującej się do dziedzictwa Wielkiego Księstwa.

W czasie naszych podróży odwiedziliśmy, rzecz jasna, Mińsk z jego nieoczywistym pięknem, Grodno, Pińsk, Chagallowski Witebsk. Odwiedziliśmy zamek Radziwiłłów w Nieświeżu i zamek w Mirze (obydwa wpisane na listę dziedzictwa UNESCO), a także polski „zestaw obowiązkowy”: Zaosie Mickiewiczów i odrestaurowany, czy raczej wzniesiony na nowo, dworek w Mereczowszczyźnie, gdzie urodził się Tadeusz Kościuszko. Jako mieszkańcy warszawskiego Ursynowa musieliśmy też zajrzeć do rezydencji Niemcewiczów w Skokach pod Brześciem, gdzie przyszedł na świat Julian Ursyn. Ale nie mniejsze wrażenie zrobiła na nas wioska Łowczyce pod Nowogródkiem, gdzie nie dochodzi nawet normalna droga i trzeba dojść na miejsce ścieżką przez łąkę i lasek. Na wzgórkach wznosi się tam drewniany meczet, a wokół niego rozciąga spory cmentarz muzułmański. W jednym z grobów spoczywa Ewlija Kontuś,



fot. Marcin Bałczewski 

miejscowy tatarski świąty. Pan Aleksander, który opiekuje się cmentarzem, powiedział nam, że przed wojną do grobu Kontusia pielgrzymowali nie tylko muzułmanie, ale także chrześcijanie i żydzi.

A w Łyskowie, na skraju Puszczy Białowieskiej (z Różany z imponującym pałacem Sapiehów jedzie się przez las) zwiedziliśmy zdewastowany w czasach sowieckich olbrzymi barokowy klasztor Misjonarzy. Na placu przed kościołem znajduje się mogiła Franciszka Karpińskiego. Znany z pieśni religijnych poeta (*Bóg się rodzi, Kiedy ranne wstają zorze*) spoczywa w niewielkim, zapadającym się w ziemię grobowcu.

I jeszcze podmiński Raków. W międzywojniu ostatnie miasteczko przez polsko-sowiecką granicą (Mińsk był już po drugiej stronie). Stolica ówczesnych przemytników, uwieczniona w powieści *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy* Sergiusza Piaseckiego. W swoim domu przy rynku malarz i doktor historii sztuki Feliks Januskiewicz urządził muzeum, w którym starał się otworzyć dawny klimat tych okolic. Goście spędzają tam kilka godzin. Obok zwiedzania uczestniczą w degustacji potraw z „przemytnicznej kuchni”.

Może kiedyś, zapewne nieprędko, powstanie na Białorusi podobne muzeum poświęcone kryzysowi migracyjnemu 2021 roku?

5.

Podróżnik i reporter Artur Zygmuntowicz zatytułował swą książkę o Białorusi *Imperium kontrastów*. Brzmi to odstrasżająco, bo „kontrasty” to bodaj najbardziej ograny greps leniwych dziennikarzy. Chyba o każdym państwie da się powiedzieć, że jest krajem kontrastów. Ale autor wychodzi z tej pułapki obronną ręką. Liczne paradoksy i sprzeczności, które pokazuje na przykładach z życia, zmuszają do refleksji, trudno bowiem pogodzić państwo opiekuńcze (miejsce w przedszkolu dla każdego dziecka) z represyjnym (wszechwładza i bezkarność milicji) albo bardzo wysoki wskaźnik spożycia alkoholu z brakiem pijanych na ulicach oraz powszechną czystością i porządkiem.

Może najbardziej uderza historia z celnikiem, wyjątkowym służbi-
stą, spotkanym przez autora i jego kolegę w pociągu z Kuźnicy Białostockiej do Grodna, a kilka godzin później ponownie – w jednym z lokali z wyszynkiem. Po zdjęciu munduru celnik okazał się innym człowiekiem: zaprosił przygodnych znajomych do domu, ugościł, pomógł w zakupach. Co nie znaczy, że następnym razem darowałyby sobie kontrolę ich bagażu – a tak pewnie zrobiłby Rosjanin, Ukrainiec czy Mołdawianin.

Symbolem Białorusi stał się dla Zygmuntowicza wszechobecny tam azbest: „Azbest jest trwały, azbest jest odporny [...]. Azbest jest skuteczny jako dach nad głową, azbest sprawia, że na głowę nie leci, ale jak by nie patrzeć, azbest truje”.

6.

W czasie majówki w 2019 roku odwiedziliśmy między innymi Berezę – dawniejszą Berezę Kartuską. Chcieliśmy zobaczyć ruiny klasztoru kartuzów oraz miejsce po kartuskim obozie odosobnienia. Na pomniku przy starych koszarach, w których sanacja przetrzymywała swych

oponentów, przeczytaliśmy: „Tutaj, od 1934 roku do września 1939 roku, znajdował się obóz koncentracyjny «Bereza Kartuska». W nim, przez wszystkie te lata, dręczono i poddawano torturom tysiące rewolucjonistów Zachodniej Białorusi, Zachodniej Ukrainy oraz Polski – bojowników o wyzwolenie społeczne i narodowe [mas] pracujących”.

Zasłiśmy także do muzeum miejskiego. Pani dyrektor, szczerze zachwycona gośćmi zza granicy, oprowadziła nas po nim osobiście. Serdeczny uśmiech nie zszedł jej z twarzy nawet wtedy, gdy zwiedzaliśmy salę poświęconą okresowi „polskiej okupacji”, czyli latom międzywojnia, gdy Bereza wchodziła w skład II Rzeczypospolitej (sama tego terminu nie użyła).

Zbliżał się 9 maja – Dzień Zwycięstwa – i muzeum już szykowało się na tę uroczystość. W sali poświęconej wojnie i lokalnej partyzantce odbywały się każdego dnia specjalne lekcje.

– U nas do lasu szły całe rodziny – opowiadała nam pani dyrektor. – W partyzanckich bazach były szkoły i prowadzono zajęcia. Odtworzyliśmy taką klasę, z prowizorycznymi ławkami i tablicą. Współczesne dzieci uczymy tutaj historii, ale też matematyki. Do liczenia zamiast liczydeł dzieci mają szyszki. Zadanie brzmi na przykład tak: „Tata Saszy zabił dziś trzech Fryców, a tata Nataszy – czterech. Ilu razem Fryców zabili?”.

Bibliografia

- Andrzej Brzeziecki, Małgorzata Nocuń, *Łukaszenka. Niedoszły car Rosji*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021.
- Sokrat Janowicz, *Białoruś, Białoruś*, Iskry, Warszawa 1987.
- Tadeusz Konwicki, *Kalendarz i Klepsydra*, Czytelnik, Warszawa 1989.
- Mateusz Marczewski, *Koliste jeziora Białorusi*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2017.
- Sergiusz Piasecki, *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*, Świat Książki, Warszawa 1994.
- Artur Zygmuntowicz, *Białoruś. Imperium kontrastów*, Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2018.

Ułamdżimir Niaklajeu

tłumaczenie Jakub Biernat

56

Hol warszawskiego hotelu, w którym zakwaterowano delegację białorusko-sowieckich pisarzy był wypełniony młodymi panienkami.

– Co to, macie tu zlot polskich komsomołek? – spytał Wiktar recepcjonistę, a ten nieprzyjaźnie odburknął: – Chyba zlot polskich kurew. Dawno nie miały zajęcia, a dowiedziały się, że w naszym hotelu będzie delegacja zagranicznych turystów. – Jakich zagranicznych? – No was. Innych obcokrajowców do Polski nie wpuszczają. A i kto przyjedzie, kiedy jest stan wojenny? – My przyjechaliśmy. – Was wysłali – i recepcjonista po zameldowaniu Wiktara, nie podał mu jego czerwonego paszportu, ale rzucił nim.

W warszawskich sklepach same pustki. Nie było nawet pończoch, nie mówiąc o sukienkach – prostytutki były gotowe przyjmować opłatę za obsługę w czymkolwiek. Choćby za czekoladki. Ale członkowie delegacji sprawiali wrażenie, że czekoladek akurat nie mają.

Wieczorem Czesław Lubcza, z którym Wiktar poznał się w czasie, gdy ten pracował jako korespondent Polskiego Radia w Moskwie zapytał: – Po co tu przyjechałeś? Zapraszałem cię?

Recepcjoniści, prostytutki, korespondenci Polskiego Radia, sprzedawczynie w pustych sklepach, każdy robotnik w Gdańsku i każda



sprzątaczką na warszawskim dworcu, każdy przechodzień na warszawskiej czy krakowskiej ulicy bali się jednego – że do Warszawy, jak niedawno do Budapesztu czy Pragi wjadą sowieckie tanki. A delegacja białorusko-sowieckich pisarzy Polaków była jedną z załóg czołgów, które stały za Bugiem.

– A ty jesteś dowódcą – powiedział mi Czesław, który jako tłumacz wreszcie zgodził się na spotkanie z Wiktarem, poetą. – Rozumiem, że to honor mieć w swoim czołgu mechanika-kierowcę Tankiewicza i dowódcę wieży Brylca, ale sam rozumiesz, w co się wpakowałeś?

Wiktar zdał sobie z tego sprawę, gdy pod koła autobusu, którym razem z ludowym zespołem pieśni i tańca jechali na występy, ktoś rzucał słoik z olejem. A pod sceną domu kultury, w którym mieli występować znaleziono bombę domowej roboty. Jednak dzięki Bogu udało się dojechać i wszystko skończyło się na rozkwaszonych nosach i wybitych zębach. Kierowcy udało się utrzymać autobus na kołach. Choć zniósł słupki i zjechał na pobocze, to jednak się nie przewrócił. – A to Polaczki – kierowca wycedził przez zęby wybite kierownicą. – Tak to nie mają dzieci czym karmić, a sami olej słoikami na drogę wylewają!

– Gdzie nas przywiozłeś? – spytał Wiktara oszołomiony Czarhinau, wycierając krew z warg – Gdzie i po co? – na co Tankiewicz odpowiedział rozdrażniony. – Iwan, dzieckiem nie jesteś! I nie udawaj, że nie wiedziałeś, dokąd jedziesz i dlaczego? – Jednak i po nim było widać, że w pełni zdał sobie z tego sprawę dopiero teraz.

Pierwszego dnia delegację białorusko-sowieckich literatów obwozili po gabinetach partyjnych aparatczyków, mniej i bardziej ważnych kierowników, którzy prawie się od siebie nie różnili. Wszyscy mówili to samo, że czas teraz ciężki, ale on przeminie i mostów braterstwa, jakie przerzucono przez Bug, nikomu nie uda się zniszczyć. Gdy drugiego dnia ci sami ludzie przywitani ich w Związku Pisarzy Polskich, Tankiewicz nie wytrzymał. – Więcej inżynierów dróg i mostów nie zniosę!

– Z nikim z uczciwych ludzi nie mogę was umówić – odrzekł Lubcza, gdy Wiktar zapytał, czy delegacja może zobaczyć się nieformalnie z kimś z warszawskiej inteligencji. – Wszyscy porządni literaci, malarze, muzycy albo siedzą, albo są na emigracji. Zostały tylko te kurwy w gabinetach, dokąd was prowadzają. To się z nimi spotykacie.

– Nie mamy tyle czekoladek. – odpowiedział Wiktar. – Jakich czekoladek – zdziwił się Czesław. Słyszac tłumaczenia Wiktara wybuchnął:

– A odwal się ty od naszych kurew. Wasze będą nam obciążać, jak do was pojedziemy, a nasze was zatłuką.

Wikar mógłby polemizować z tą opinią, mając w pamięci panienki z hotelowego holu, ale wycofał się. Po raz pierwszy oglądał Czesława Lubcę, Białorusina z Nowogródzczyzny, w roli tak nieprzejednanego Polaka: – Teraz to i ty musisz być Polakiem, teraz wszyscy porządni ludzie są Polakami. Tylko Jaruzelski to wyrodek, co z Breżniewem się obściskuje i jest gotów wprowadzić wojska do Polski. Wręcz prosi o osiem dywizji, razem z Niemcami i Czechami. I wyobraź sobie co z tego będzie! Krew! Wojna!

Gdy mijali Brześć, Wiktor dostrzegł, że w mieście jest o wiele więcej wojska niż zazwyczaj. Akurat, zupełnie się nie kryjąc, obok przechodziła nowa wojskowa kolumna. Pomyślał, że nie chowają się, by nastraszyć, ale kiedy dołączają sojuszników, gdy zbierają kolejną „Międzynarodówkę”, to już nie jest zwykłe straszenie.

– Skąd wiesz o wojskach?

– Od Czechów, ty myślisz, że oni zapomnieli o sowieckich czołgach? Myślisz, że nie mamy tam swoich ludzi? Trwają przygotowania do okupacji, a Jaruzelski posadził wszystkich, którzy byli gotowi oddać życie za kraj. Cała Solidarność siedzi za kratami. A tych, którzy jeszcze nie siedzą, jest gotowy rozstrzelać, jak niegdyś robotników w Gdańsku.

Czesławem zatrzęśło, gdy to mówił. I wyglądał tak, jakby Wiktar był wśród tych, którzy strzelali do gdańskich robotników.

– No dobrze, Jaruzelski – Jaruzelskim, czołgi – czołgami, ale co mi do tego?

– Jak to co? Ty się nie całowałeś z Breżniewem?

I białoruscy poeci w Mińsku, i polscy tłumacze okazywali się bardziej godni, bo nie całowali się z Breżniewem. Wiktar zresztą nie poczuł się urażony przez Czesława – niby za co?

– Jeżeli myślisz, że jutro przyjdzie do ciebie wojna i zobaczysz człowieka Wschodu, nawet przyjaciela, to nie takie słowa mogą paść. Do przyjaciela tym bardziej. – Sowieci ojca mojego zagnali do łagru pod Nowosybirskiem, a teraz idą tu, by mnie wykończyć! A ty z nimi! I chcesz, żeby cię jeszcze witać z otwartymi rękami?



fot. Marcin Bałczewski



Ojciec Czesława Lubczy zmarł w syberyjskim łagrze. Czesław mówił: „Rosnąc bez ojca i będąc miękki z natury, ukształtowałem w sobie żelazny charakter. Życie mnie tak nauczyło.”

Po wojnie jego matka przeniosła się z Białorusi do Polski i Czesław, białoruski nacjonalista, który w Związku Młodzieży Białoruskiej śpiewał *Wyjdziemy szczerłymi szeregami*, stał się również polskim nacjonalistą.

– Nie wszyscy porządni ludzie wyjechali, ty przecież zostałeś – przekonywał Wiktar zaciętego podwójnego nacjonalistę, by ten znalazł jakiegokolwiek z polskich literatów i zaprosił na spotkanie z znanymi białoruskimi pisarzami. Ktoś jeszcze mógł zostać i wszyscy oni wiedzieli, kim jest Tankiewicz, Brylec.

– Na miejscu jest Jan Twardowski – twardy z charakteru, a miękki z natury. – Czesław powoli zaczął się łamać. – On jest nie tylko poetą, ale też księdzem. Tylko jak go zanęcić. Dzisiaj akurat wygłasza kazanie

w kościele Wizytek. Przyjdźcie, każdy może posłuchać. A potem się zobaczy.

Spotkali się w mieszkaniu Twardowskiego. Gospodarz zaprosił też pół tuzina parafian, którym kazanie nie wystarczyło. Mówił im: *złem może być nawet dobro, jeżeli jest ono obce. Lubię kaszę i tobie też dam i ty ją polub. Dlaczego? Bo ja ją lubię! Tak mam, ty też miej tak samo! Jeśli nie lubisz kaszy, a woli kluski, mam to gdzieś.* Po tym kazaniu zaproponował przywitać gości ze Związku Sowieckiego, a parafianie tłumacząc się ważnymi sprawami jeden po drugim wymykali się. Została tylko siostra wizytka, która usługiwała w domu i łysiejący facet w okularach, który zapytał: „Ojczy, a może gości przywitam wierszem?” – i rozpoczął

Czekamy ciebie, czerwona zarazo,
byś wybawiła nas od czarnej śmierci,
byś nam Kraj przedtem rozdarłszy na ćwierci,
była zbawieniem witanym z odrazą!...

Wiktor znał wiersz Józefa Szczepańskiego, napisany pod koniec lata 1944 roku, gdy Niemcy rozprawiali się z powstańcami warszawskimi, a Armia Czerwona stała pod Warszawą i nie było jej spieszo, by im pomagać. Lubcza, który kiedyś w Moskwie przeczytał mu wiersz *Czerwona zaraza*, dowodził, że sowieckie wojska nie wyzwoliły wtedy Warszawy na rozkaz Stalina, który podobno miał powiedzieć: „Czym więcej polskich nacjonalistów i niemieckich faszystów wykończy się nawzajem, tym lepiej”. Szczepański, pewnie nie znając tych słów, jakoś się ich domyślił, wkładając w wiersz tyle nienawiści do „czerwonej zarazy”. I teraz, prawie po 40 latach, nienawiść aż wirowała, wyrrywając się z łysiejącego faceta w okularach, że aż ciężko było to znieść. Pierwszym, który w Związku Pisarzy nie wytrzymał, był Tankiewicz. Podniósł się.

– Dziękuję panie Janie – i poszedł, a Twardowski odpowiedział.
– Proszę bardzo – i nie pożegnał się, ani nie zatrzymał żadnego z członków białoruskiej delegacji, która gęsiego ruszyła za Tankiewiczem.

– Sam tego chciałeś! Prosiłeś o spotkanie z kimś porządnym! – Czesław odgryzł się Wiktorowi na jego pretensje – To czego ode mnie chcesz?

Wiktar nie chciał już niczego – nie wiedział, gdzie się podziać. Po powrocie do hotelu, gdzie jeszcze na czekoladki czekało parę panienek, wspomniawszy jak Czesław mówił *Polskie kurwy cię wykończą*. Dwie z nich zabrał do pokoju i pił z nimi całą noc przywiezioną wódkę. I z taką nienawiścią, z jaką czytał wiersz o Armii Czerwonej facet w okularach, krzyczał w hysterii: – Kurwy...! Co ja mam do tego, że latem 1944 roku sowieckie czołgi nie weszły do Warszawy, stały za Wisłą? Co ja mam do tego, że jesienią 1982 sowieckie czołgi stoją za Bugiem, by wejść do Warszawy? – Uspokoił się dopiero, gdy jedna z nich najbardziej pijana i podobna do kurwy, wypaliła mu w twarz: – Sam jesteś kurwa – i poszła sobie nie biorąc czekoladek.

Kurwa!

Rankiem zatelefonował do Hanny: – Ja twojego ojca o nic nie prosiłem, wszystko co robił, robił z własnej woli, a teraz proszę: niech coś wymyśli, żeby dziś czy jutro wezwali mnie do Moskwy, inaczej się tu zastrzelę, słyszysz, zastrzelę się.

W odpowiedzi usłyszał:

– Strzelaj! Nie rozumiesz, że teraz po donosie Maćwiejewa, twój wyjazd do Warszawy to test i jeżeli go oblejesz, możesz się zastrzelić – rzuciła słuchawką. Dalsze trzy godziny przesiedział patrząc tępo w lustro i obejmując głowę rękami – nienawidząc faceta, którego widział w odbiciu. I wtedy zadzwoniła Hanna:

– Powiedziałam Hraczynowi, że jeżeli jesteś szefem delegacji, to trzeba ci nadać odpowiedni status. Hraczyn dogadał się na temat twojego spotkania z Jaruzelskim. A po nim czekać cię będzie występ w polskiej telewizji.

Kurwa!

Wszędzie tylko kurwy! Kobiety, mężczyźni, poeci, faceci! W Warszawie, w Moskwie!

Po powrocie z Indii do Moskwy czekał na wezwanie na Łubiankę, którego jednak nie było. Jednak, co go bardzo zdziwiło, dostał telefon z Mińska: „Terminy wyjazdu do Polski uzgodnione z polskimi towarzyszami, a wy jako szef grupy zgłoszcie się jutro o 10 po instrukcje do Domu Przyjaźni”. Ledwie zdążył na nocny pociąg i całą podróż zastanawiał się, co miałyby to znaczyć. Ale nic nie wymyślił. Z dworca od razu pojechał do Domu Przyjaźni, gdzie dwóch „instruktorów” – kagiebiści i człowiek z KC długażkami na temat niezwykle pokomplikowanej sytuacji

politycznej i możliwości prowokacji w Polsce. Nie dodali jednak, że przyjazd sowieckich literatów i tancerzy w czasie, gdy na granicy stały czołgi, w istocie są prowokacją. Gdy wyjeżdżali z Brześcia w dwa autobusy, widzieli te czołgi, a Brylec zauważył:

– Będą stać, aż pod nasz autobus podłożą bomby. I wtedy ruszą na Warszawę.

Wiktarowi takie coś nie mieściło się w głowie. Myślał, że to żart. Zmienił zdanie, gdy Brylec opowiedział mu, jak po powrocie, przerażony tym, co zdarzyło się na polskich drogach i o bombach w salach koncertowych, artyści całowali brzeską ziemię: „Też kiedyś całowałem rodzimą ziemię. To było po drugiej wojnie, po powrocie z niewoli.”

Do drzwi zastukał recepcjonista. Ten sam, który rzucił jego paszportem przy rejestracji. Tym razem biła od niego uniżoność.

– Samochód czeka na pana.

Coś za szybko. Był wymięty, nieogolony. A za dwie godziny ma jechać do Białegostoku. Tankiewicz, wczoraj, jak wyszli od Twardowskiego, zapytał: „Po co tak łazimy, dokąd ty nas prowadzisz. Do obcych. Jedźmy lepiej do swoich”. I sam umówił się na spotkanie dziś z Białorusinami w Białymstoku. A Wiktara jak w Mińsku czy Moskwie ciągną to do swoich, to do obcych?

– Co za samochód?

– Od towarzysza Jaruzelskiego – portier poinformował z przejęciem. Nie był zwolennikiem władz, ale z jego oblicza łatwo było odgadnąć, że nie bał się, ale wpadł w rodzaj mistycznego drżenia na widok władzy. Może szczęścia, że niemal jej dotknął, choćby nawet za pośrednictwem sowieta.

Wiktar znał to dobrze, wszyscy tak mają – także Polacy, nawet u ultra-Polaków z tą ich całą pychą.

– Proszę powiedzieć, żeby chwilę poczekał, muszę się umyć i ogolić.

Recepcjonista popatrzył na niego ze współczuciem.

– Lepiej już chłopie wyglądać nie będziesz.

– Kazali się pospieszyć, towarzysz generał nie będzie czekał – z uporem zastygł w drzwiach. A Wiktar wspomniał nieboszczyka generała Stuarta, który nie miał problemów z brakiem czasu, ale i tak bywało, że gdzieś się spieszył: pojawiał się i znikał. Jak on to mówił? W tym życiu

zdążamy jedynie rozpiąć i zapiąć guzik? Schodząc na dół, Wiktar zaszedł do Tankiewicza, powiedział, że nie uda mu się dotrzeć na czas do Białegostoku – bo coś mu wypadło w Warszawie. Tankiewicz spojrzawszy na niego: „Widzę, że coś ci wypadło”.

Minister Obrony, Przewodniczący Rady Ministrów, Pierwszy sekretarz KC PZPR, przewodniczący Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, generał armii Wojciech Jaruzelski, zapięty na ostatni guzik, przyjął Wiktara w pomieszczeniu niezbyt podobnym do gabinetu. Stała tam kanapa, stolik z taboretami i miękkim dywanem jakie zazwyczaj polegują w sypialniach oraz obrazkami na ścianach. Wśród nich wisiało czarno-białe zdjęcie, na którym Jaruzelski w ciemnych okularach (żeby nie widzieć, z kim się całuje – pomyślał Wiktar) ściskał się z Breżniewem. Ściana wokoło ramki była nieco jaśniejsza, nietknięta słońcem. Na tym miejscu musiało zatem wisieć coś większych rozmiarów, a zdjęcie z pocałunkiem powiesili niedawno, jeśli nie dzisiaj.

– Co u Wasila Dziamianowicza? – Generał podając rękę, od razu dał do zrozumienia dlaczego przyjmuje Wiktara. – Jest pan jego zięciem? Jestem z nim w niezłych stosunkach. Może nie przyjacielskich, ale niezłych. On, jakby to powiedzieć... to człowiek do rzeczy. – Gestem zaprosił, by usiadł. – A pułkownik Mikołaj Marher to nie pańska rodzina? Pochodzi z Białorusi, ale nie pamiętam skąd. Przez parę lat służyliśmy razem, kiedy on jeszcze nie był pułkownikiem. Czyli rodzina, czy po prostu tak samo się nazywacie?

Wiktar spodziewał się wszystkiego, tylko nie takiego początku rozmowy. Gdy wieźli go do Jaruzelskiego, będąc zupełnie nieprzygotowany do spotkania, konwulsyjnie myślał: co powiedzieć? Od czego zacząć? Może z tego co mu wkładali do głowy podczas instruktarzu w Domu Przyjaźni? „Wszędzie powtarzacie słowa Leonida Ilicza, że Związek Sowiecki nie porzuci bratniej Polski w biedzie i zawsze pomoże polskiemu narodowi”. Wplatał te słowa na spotkaniu w Związku Pisarzy Polskich, jednak nawet tam brzmiały one w inny sposób niż w Domu Przyjaźni. Ale tu, żeby powiedzieć te słowa potrzebny był Breżniew, nie on. Jednak tu jest on sam i o czym ma mówić z szefem państwa? Chyba o niczym? Chyba, że o wujku, który uciekł do Polski od razu po wojnie



fot. Marcin Bałczewski 

i o którym we wszelkich ankietach w rubryce „Czy masz krewnych za granicą?” pisał, że nie ma. Za każdym razem, gdy pisał „nie ma”, było mu wstyd, bo jakby wyrzekał się kropli swojej krwi. Raz, gdy postawił w tej rubryczce kreskę, zwrócono mu ankietę jako nieodpowiednio wypełnioną: „Napiszcie: ma czy nie ma”. I jeżeli napisałby, że ma i porównaliby tę ankietę z poprzednimi, dowiedzieliby się, że mataczył. I już więcej nie wydawaliby mu żadnej ankiety ani w celu otrzymania nagrody czy wyjazdu zagranicznego.

– Wujek – powiedziałem Jaruzelskiemu – wujek rodzony. Pochodzi z Krewy.

– Tak, z Krewy! – Jaruzelski, udając że cieszy się z odzyskania pamięci dodał – pański wujek opowiadał jak po wojnie, już przy władzy radzieckiej, zebrali wszystkich w Krewie na placu i kto Polak na prawo, kto Rosjanin na lewo. O Białorusinach nawet nie wspomnieli. I wtedy pomyślał, że skoro przyszli Rosjanie i nawet słowa o Białorusinach nie powiedzieli, to lepiej zostanie Polakiem, a co tam będę Rosjaninem. I choć

bracia nie puszczali: „A ty dokąd, Polaków wystrzelają za Armię Krajową!”, zaryzykował, poszedł na prawo i zostałem pułkownikiem Wojska Polskiego. Proszę co oznacza jeden ruch w naszym życiu. Może pojawia się na tym świecie, żeby zrobić w nim ten jeden krok!

Powiedział to tak, że nie szło zrozumieć o co chodzi i Wiktar nieoczekiwanie dla siebie samego poczuł szacunek do tego okazującego oznaki zmęczenia człowieka, który był w stanie wziąć na siebie taką odpowiedzialność. I pomyślał, że zrobienie tego kroku nie jest jak zapięcie guzika i żeby stać się politykiem trzeba być człowiekiem ulepionym ze zwierzęcego mięsa z nieczłowieczym umysłem.

– Choć można też zrobić krok nie w tę stronę – Jaruzelski zabujał się na taborecie. – Jak mój dziadek wiosną 1939 roku, kiedy przyjechał z rodziną do Wilna. A na jesieni Wilno trafiło w ręce Sowieców i wszystkich Polaków zesłali na Syberię. Bez pytania. Tam w obozie w Kraju Ałtajskim ojciec pozostał na zawsze. Nie było trumny, by go pochować, więc okręciłem go jak całunem w gazety „Prawda”, robiąc spustoszenie w obozowej prenumeracie. Tam właśnie w Kraju Ałtajskim, pracując przy wyrębie lasu, zachorowałem na ślepotę śnieżną i teraz nie mogę patrzeć bez ciemnych okularów. Przez to wasz przyjaciel Lubcz... Kawy? Proszę nalewać. I mi też... Pewnie chce pan wiedzieć, skąd wiem, że jest pańskim przyjacielem? Mój pomocnik pokazał przed naszym spotkaniem „Trybunę Ludu”, gdzie wydrukowano pański wiersz. Niezły przekład. I dlatego, że chodzę w ciemnych okularach, Lubcza wymyślił dla mnie przydomek „spawacz”. Choć kiedyś też się przyjaźniliśmy. Byliśmy razem w stowarzyszeniu rodzin represjonowanych: jego ojciec, tak jak i mój, nie wrócił z Syberii. I między innymi, gdy pracowałem w Głównym Zarządzie Politycznym zarekomendowałem Lubczę na korespondenta Polskiego Radia w Moskwie, a on mi właśnie w podziękowaniu przylepił przydomek „spawacza”... Dlaczego nie pije pan kawy? Tu nie Syberia, ale wystygnać może...

Co do „Prawdy”, to Jaruzelski sobie to wymyślił. Pewnie owinął nieboszczyka ojca w parę gazet, ale kto by mu tam dał zszywkę Prawdy spustoszyć. Jednak całej reszty wymyślić nie mógł. Z kim nie pogadasz, czy z Kryczem, czy Lubczą, czy z Różewiczem, czy wreszcie z Jaruzelskim,

to zawsze ktoś z rodziny był zesłany na Syberię. I nawet ten człowiek, który dowodzi wojskami, służbami, stoi na czele całkiem sporego kraju w Europie, w blasku syberyjskich śniegów zachorował na śnieżną ślepotę, by przez całe dalsze życie patrzeć na świat przez ciemne okulary! Co za metafora, Robercie...!

Od Hraczyna Wiktar wiedział, że szefowie krajów bloku wschodniego zazwyczaj są wyznaczani w Moskwie. Skoro więc jego rozmowa z Jaruzelskim z politycznej, na którą Wiktar nie był gotowy („Związek Radziecki nigdy nie opuści bratniej Polski”), dzięki wujkowi Mikołajowi i Lubczy nabrała osobistego charakteru – odważył się zapytać:

– A jak pana jako dawnego elementu antysowieckiego, łagiernika umieścili na fotelu szefa państwa?

– Siedzę na taborecie – Jaruzelski spojrzał pod nogi, poprawił okulary, które zsunęły mu się z nosa. I obrócił się w kierunku drzwi, przez które wszedł człowiek w mundurze, jego pomocnik.

– Co tam?

– Do telefonu proszą. Moskwa.

– Kto?

– Towarzysz Hraczyn.

– Wcześniej niż było umówione. Powiedz, że rozmawiam z tym, którego do mnie wysłał.

– Powiedziałem. Ale on nie o tym.

– A o czym?

– Breżniew zmarł.

– Kto?

– Towarzysz Leonid Ilicz Breżniew...

Przez chwilę Jaruzelski patrzył na swojego przybocznego i milczał. Potem odwrócił się w kierunku fotografii, na której całował się z Breżniewem. Przez ciemne okulary nie widać było wyrazu jego twarzy, ale Wiktorowi wydawało się, że twarz Pierwszego Sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, któremu doniesiono o śmierci sekretarza Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, nie zmieniła się ani na jotę.

– Tak! – Gwałtownie podniósł się z siedzenia. – Teraz nikt nie namówi go, żeby wprowadził wojsko! – I podał Wiktarowi rękę. – Powiem towarzyszowi Hraczynowi o dobrej z panem rozmowie. A pan powie Lubczy, który krzyczy, że pragnę krwi, że jej nie chce. Jakbym chciał, to on dawno by zamilkł. Może pan to nawet powiedzieć w telewizji. Ostanie

słowa wymówił generał z grymasem na policzku, udowodniwszy po raz pierwszy w czasie całej rozmowy, że ma nerwy.

Po wyjściu z KC, gdy Wiktar oddawał swoją przepustkę, dogonił go asystent Jaruzelskiego: „Prosili przekazać, że towarzysz Hraczyn przekazał, że teraz może pan jechać do Moskwy. A delegacja ma wracać do Mińska.” Na ulicy już czekała telewizja. Czy to prawda, że Breżniew umarł...? Nic więcej ich nie interesowało. Ani on sam, ani delegacja pisarzy, ani muzyka ludowa z tańcem. Kamerzysta obserwował czekając, dziennikarka wetknęła mikrofon pod brodę, trzęsły jej się ręce – tak chciała jako pierwsza przekazać tę wiadomość. Wiktor tymczasem powiedział, że Leonid Iljcz nigdy nie opuści braterskiej Polski, zawsze pomoże Polakom, a dziennikarka spojrzła na niego i zamrugła oczami.

Gdy wrócił do hotelu, recepcjonista razem z kluczem wręczył mu kartkę od Tankewicza. „Dzwonili z Domu Przyjaźni i kazali nam jechać z Białegostoku do Mińska. Mówili też, że (według pogłosek) L.I. zmarł, a tow. And. został mianowany przewodniczącym komisji pogrzebowej. Do zobaczenia w domu, Tankiewicz”.

Wróciwszy do pokoju, położył się na kanapie i długo leżał, wpatrując się w sufit. Jeśli Andropow zostanie przewodniczącym komisji pogrzebowej, zastąpi Breżniewa, który już w niczym nie pomoże Polsce. Wiktarowi też nie pomoże, gdy donos na Maćwiejewa wyjdzie na jaw. Przypomniał sobie wieczorną rozmowę z Breżniewem w dacy Hraczyna i złapał się na tym, że mu żal z powodu śmierci tego człowieka. I nie dlatego, że mógł pomóc. Nie wiadomo, czy w ogóle by pomógł... Ale jeśli za Chruszczowa, który nazwał Stalina despotą, uwięziono tysiące politycznych, to za Breżniewa, który milczał o Stalinie, dziesiątki. I to mimo wszystkich anegdot o drogim Leonidzie Iljczu.

Trzeba by wypić za jego pamięć. Tak, ale nie ma z kim. Chyba że z dziwkami...

Zadzwoił telefon. Hanna:

– Wiesz już wszystko?

– Nie wszystko. Dlaczego nie Hraczyn? Albo ktoś inny?

– Ponieważ u Andropowa są kompromaty na wszystkich... – i powtórzyła, co powiedział jej ojciec. O tym, że Breżniew umarł w rządowej dacy w Zareczu, a jako pierwszego poinformowano o śmierci Sekretarza

Generalnego KC KPZR, przewodniczącego KGB ZSRR Andropowa, który jako pierwszy przybył do dachy. Zabierając z biurka Breżniewa teczkę z kompromatami o wszystkich członkach Biura Politycznego, wezwał do Zarecza ministra obrony Ustiewa i sekretarza KC Hraczyna. Cała trójka siedziała przy łóżku zmarłego, a Andropow, na którego kolanach leżała znana im wszystkim teczka, zaproponował, żeby natychmiast podjęto decyzję, kto będzie następcą Leonida Iljicza. Ustiew, który wprawdzie miał armię, ale nie miał teki na kolanach, zdecydował, że następcą powinien być Andropow, a Hraczyn, który nie miał ani armii, ani teki, poparł propozycję Ustiewa. I tak we trójkę zadecydowali kto będzie rządził krajem. I że będzie to KGB. Ono i tak rządziło, ale nie bezpośrednio, a teraz już bezpośrednio.

– Nie masz się czego obawiać – powiedziała z pośpiechem Hanna, jakby bała się, że się rozłączy. – Andropow ma teraz dług wdzięczności wobec Hraczyna.

– To ci Hraczyn powiedział?

– Ja ci to mówię. A Centralny Komitet Związków Zawodowych pyta, kiedy wrócisz do pracy. Gdyby coś byłoby nie tak, nie pytaliby. Więc wsiadaj do pociągu.

– Bilet pierwszej klasy?

– Możesz też jechać drugą. Ostatni raz...

Odłożył telefon, poszedł do łazienki i przejrzał butelki z wczorajszej hulanki. W niektórych na dnie zostało jeszcze trochę, wlał to wszystko do jednej szklanki. Uszanował pamięć, tak jak to robi prosty naród... Być może pod Breżniewem życie tego prostego narodu toczyło się w najodpowiedniejszy sposób? Było co zjeść i co wypić. Może bez frykasów, ale było. A co najważniejsze: było po równo. Tak, Hraczyn może i jadł lepiej, ale chodził przez lata, jak Susłow, w tym samym garniturze. Niektórzy mieli tajne sklepy dla wierchuszki, inni chodzili do sklepu Bieriozka, ale większość miała po równo. I to była taka, jakby sprawiedliwość, przez brak której ten naród rzucał się w wir buntów i rewolucji. A i tak to jego wieszali, rozstrzeliwali, zapędzali do łagrów. I choć wydawało się, że ten etap już się skończył, jednak wszystko to mogło zacząć się od nowa... Telefon zadzwonił ponownie. Tym razem Lubcza: – Breżniew zmarł. Andropow go zastąpi. KGB. I nie cofnie się przed niczym, by stłumić ruch wolnościowy w Polsce. Organizujemy demonstrację przeciwko

wkroczeniu wojsk sowieckich. Jeśli jesteś Wiktorem Marherem, którego znałem wcześniej, musisz nas wesprzeć. Nie wie, czy jestem tym, kim byłem wcześniej, ale wie, że Breżniew nie żyje i że Andropow będzie na jego miejscu. Chociaż nigdzie nie było o tym informacji. Okazuje się, że nie trzeba żadnych gazet, radia i telewizji.

– Czesław...

– Co?

– Chcesz, żebym nie miał dokąd wrócić?

– Chcę, żebyś miał z kim zostać.

– A gdzie zostać? W Polsce, gdzie wkroczą wojska sowieckie?

– Jeśli wszyscy wyjdziemy na ulicę, nie wejdą. Trzeba nie dać Jaruzelskiemu okazji do ich zaproszenia. Poleje się krew.

– Powiedział, że nie chce krwi.

– Komu powiedział?

– Mnie.

– Byłeś u tej gnidy?

– Byłem.

– Ta-a-k... A jak się usprawiedliwisz?

Dlaczego niby musi się usprawiedliwiać? Nawet przed Lubczą albo kimkolwiek. Jednak zaczął się tłumaczyć:

– Czesław, ja mam ukochaną w Moskwie.

Lubcza zamilkł. Po chwili powiedział:

– To jest jakiś argument, ale możesz go używać tylko przed samym sobą.

I w słuchawce usłyszał dławiące krótkie sygnały. Nie było już nic do picia, Wiktor ubrał się i wyszedł na zewnątrz. Poszedł do baru na Marszałkowskiej, w którym tłoczyli się pijacy. Zamówił wyborową, skulił się przy stoliku w kącie. Kiedyś w tym barze i przy tym stole napisał wiersz *Nowy Świat*, który Czesław przy tym samym stole natychmiast przetłumaczył.

NOWY ŚWIAT

Pogrzeb Stalina.

Moskwa czuwa

Dalekowzrocznie.

Przerażający łeb

Jaszczura
Kremlowskooczny.

Wyszli na ulice
Warszawiacy
I głucho stali.
– *Solidny ludek ci Polacy* –
Zauważył Stalin.

I Beria zgodny:
– *Cóż, jak się patrzy,*
Wszyscy w żałobie...
Tylko ten babsztyl
Nic z rozpaczy
Nie robi sobie.

Zwinąć tę jędzę...!

Wyzywająco,
Godnie i śmiało
Szła Nowym Światem
Wbrew tym stojącym
Niewiasta w białym.

Snajper z Łubianki,
Wściekły wyraźnie,
W cel wlepił gały,
Trzykroć się złożył...
Trzykroć się zbłąźnił,
Bo spóźnił strzały.

Gapi się Beria
W swe okulary –
Pince-nez spotniały:
– *Na Boga! Koba!*
To jakieś czary!
Ona – bez ciała...!

*A z boku spojrzysz –
Niby potulna
Laszka
Przeklęta!*

*Wtem od Stalina
Dobiegło z trumny:
– Strzeż się, Laurenty...!
Nic to, że bledną
Przy jednej Polsce
Dwie ruskie gejsze.
Ale że dusza
Jej cię nie słucha –
Znacznie groźniejsze!
Jak naród ćwiczyć
Na krótkiej smyczy
Ucz się do grobu.
Wolność istnieje
Tylko w idei.*

*– Wiem o tym, Koba».
Strzał drugi, trzeci...
Wszystkie spóźnione,
Choć niedalekie.
Snajper z Łubianki
Minął się z celem
O całe wieki.*

*Każda epoka
W krąg ukorzenia
Swoje kanony:
Skrwawiony welon
W sztandar się zmienił
Biało-czerwony!*

Nie ma wolności?

Oto jej rozkwit
Na śmierć tyranom:
Trupy tyranów
Ciskano w Moskwie
Pod Kremla ściany.

W łagrach GUŁagu
Jeszcze trzeszczały
Leśne poręby,
A już imperium
Z hukiem pękało
Gubiąc swe zęby.

Już się i wolność
Z tła wyłaniała:
Ludzie widzieli
Białą Niewiastę.
A to – Warszawa
Szła cała w bieli.

Na wszystko poszło siedem kufla piwa, trzy dla autora i cztery dla tłumacza. Po skończeniu czwartego Czesław się nakręcił: – Przeczytajmy tym pijaczkom! – Czytali *Pogrzeb Stalina*.

– Moskwa czuwa. Dalekowzrocznie. Przeróżający łeb Jaszczura Kremlooskooczny – pijaczkowie zaklaskali, ruszyli do ich stolika z piwem. A barman zza kontuaru zakrzyknął: „Stawiam wyborową!”

Teraz pijaczkowie byli jacyś nie tacy, podobnie barman. – Niech wszyscy komuniści zginą! – barman krzyknął nagle, podnosząc kielišek, a wszyscy zerwali się z miejsc: „Niech zginą!”. Wiktor nie wstał, wypił na siedząco, a jego sąsiad chwycił go za klapy płaszcza, tak silnie, że aż puścił szew. – Dlaczego siedzisz? Jesteś komunistą?

Gdy wyszedł z baru, został zatrzymany przez patrol – zaczęła się godzina milicyjna. Pokazał paszport, milicjanci pokręcili go w rękach, nawet nie otwierając. – Godzina milicyjna jest dla wszystkich, zarówno dla Rosjan, jak i dla pijaków – ale nie zatrzymali go i zaprowadzili do hotelu.

– Szukałem pana – przywitał go recepcjonista. – Kiedy pana nie było, zadzwoniła kobieta i powiedziała, że kupiono już panu bilet na nocny pociąg do Moskwy i będą czekać na dworcu, koło kasy nr 1, żeby go przekazać. Jeśli pan się pospieszy – recepcjonista spojrzął na zegarek – to się uda.

Recepcjonista nie wiedział, kto dzwonił i kto kupił bilet, a Wiktar pomyślał, że może to być koleżanka Hanny, która mieszka w Warszawie – jest dziwką i do tego to lubi. Kiedy po zebraniu rzeczy opuszczał hotel, wręczając recepcjoniście ostatnią bombonierkę, ten krzyknął za nim: – Proszę poczekać! Przypomniałem sobie! Kobieta prosiła, żeby powiedzieć, że bilet jest na pierwszą klasę.

Dominika Łarionow

INTELLIGENT DANS MUSIC

Większość z nas uważa, że Białoruś to jest kraj w Europie, którego prezydentem jest Aleksander Łukaszenka. To zdanie można dookreślić, bo ta przestrzeń geograficzna jest pomiędzy Zachodem, a Wschodem, pomiędzy kapitalizmem, a socjalizmem, pomiędzy demokracją a dyktaturą, pomiędzy społeczeństwem inteligenckim a chłopskim. To jest pogranicze cywilizacji dumnej kultury europejskiej i dzikości zimnego świata brutalnej Rosji. Białorusini choć mają swój język, chętniej posługują się rosyjskim, a polski traktują instrumentalnie jako klucz, przepustkę do świata zachodniego.

Spędziłam na Białorusi dwa lata od 2007 do 2009 roku. Mariusz, mój mąż został oddelegowany najpierw do utworzenia, a później do kierowania oddziałem polskiej firmy. Przeprowadziliśmy się do dawnego Brześcia Litewskiego, obecnego Brestu. Przed drugą wojną światową Polacy i Żydzi byli głównymi mieszkańcami miasta, obecnie to jest nieco 3% populacji. Odległość jaka dzieliła nasz łódzki dom od nowego miejsca była pozornie niewielka, bo ledwie niecałe 400 km. Pociąg relacji Warszawa – Moskwa stał się naszym wehikułem, który perfekcyjnie cofał czas o dwa, może trzy dziesięciolecia. Dworzec brzeski w tej imaginacyjnej

transgresji pełnił niezwykle rolę. Budynek stał w osi wschód – zachód i miał perony usytuowane z każdego boku wedle znaczącego podziału: północny, czyli warszawski, południowy, czyli moskiewski. Pociąg międzynarodowy stawał w Brześciu nie tylko by wysiedli pasażerowie. Na stacji dokonywała się wymiana wózków wagonowych z europejskiego rozstawu torów na rosyjski. Miasto nie tylko fizycznie znajdowało się na granicy z Unią Europejską, ale cała długo trwająca techniczna procedura stała się częścią cywilizacyjnego rytuału przejścia.

W momencie wyjazdu z Polski nie byłam przygotowana na konfrontację z przestrzenią, która mentalnie, organizacyjnie posługiwała się kodem świata dyktatury. Rozpoznanie obowiązujących zasad zajęło nam kilka miesięcy i wiązało się z przeżyciem sytuacji o komicznym, często absurdalnym charakterze. Pozostał po nich smak totalitarnego systemu oraz obywatelska nieakceptacja obcowania z opresyjnym aparatem władzy.

Koloryt białoruskiej rzeczywistości dobrze oddawała scenografia do przedstawienia dla dzieci według *Dziadka do orzechów* Piotra Czajkowskiego, które kiedyś obejrzałam w Brześciu. Klasyczny balet był zagrany w dość ubogiej przestrzeni scenicznej, pozbawionej wielkiej ferii barw czy okazałych elementów, o które w założeniu starych konwencji zdaje się aplikować ta dziewiętnastowieczna opowieść. Nie było na scenie nawet namiastki przepychu, choć akcja rozgrywa się w niemieckim burżuazyjnym domu. Ale był w tej „nagości” teatralnej pewien haczyk. Gdy ojciec dziecięcej pary bohaterów w założeniu dramaturgicznym przedstawienia miał pokazać swoje bogactwo i niezależność myślenia, które miało być także odległe od fantasmagorii wyimaginowanego świata okrutnych, walczących zabawek, to aktor podchodził do rampy i wyjmował egzemplarz „Gazety Wyborczej” z kieszeni surduta skrojonego wedle zasad charakterystycznych dla kostiumu z epoki. Demonstracyjnie rozkładał dziennik przed oczyma zdumionej publiczności. Dysonans estetyk przydawał niespotykanego blasku czerwonemu prostokątowi charakterystycznemu dla grafiki tytułu polskiego. Wszystko było rozegrane niemymi gestami i nagradzane brawami. Podobnym kodem rekwizytów posługiwał się polski teatr w czasach wszechpotężnej cenzury reżimu komunistycznego. Żaden urzędnik nie mógł zapanować nad cichymi, niemymi gestami i rzeczami, które bez słów pojawiały się na

scenie dookreślając metaforykę obrazu teatralnego. W rodzimej historii scenografii ten okres jest najciekawszy od strony wprowadzonych do obiegu publicznego znaczeń drobnych elementów. Na widowni brzeskiego teatru zdałam sobie sprawę, że ten naród jest głęboko rozdarty. Do twórców przedstawienia miałam głęboki szacunek za niebywałą zdolność do syntezy znaczeń w ich teatralnym i społecznym geście, połączonej z uznaniem dla odwagi zespołu. Wiedziałam już wtedy, co to znaczy życie na Białorusi.

Nasze brzeska codzienność zaczęła się prozaicznie od szukania mieszkania. Miejscowe gazety były pełne ogłoszeń. Bez trudu znaleźliśmy dość duże lokum na osiedlu w pobliżu dworca. Miejsce wydawało się idealne na szybkie wyjazdy i powroty. Pani Nina, właścicielka nie spodziewała się, że na jej anons odpowie para Polaków. Zapewne perspektywa lukratywnego, długoterminowego kontraktu sprawiła, że początkowo była nam niezwykle przychylna. Obiecała też, że wszelkie formalności załatwimy bez większych problemów. To było bardzo ważne, bo na Białorusi obowiązywała pewna istotna zasada. W momencie wjazdu na teren kraju każdy dostawał od pogranicznika małą kartkę. Nie można jej było zgubić, bo była niezbędna do meldunku. Każdy hotel ją stemplował i skrupulatnie zapisywał pobyty swoich gości. W chwili wyjazdu z kraju należało dokument okazać pogranicznikowi. Bez zarejestrowanego małego papierka wolno było przebywać legalnie na terenie Białorusi tylko 48 godzin. Na granicy wszystko było sprawdzane, czas bywał dokładnie wyliczany.

Pomimo naszych nadziei, urzędy nie były nam przychylnie i zaczęły wymagać coraz to nowych dokumentów. Pani Nina najpierw zaczęła mieć wątpliwości czy dobrze robi wynajmując mieszkanie, a później ewidentnie zaczęła się bać. My byliśmy w nieustającej podróży przywożąc do Brześcia kolejne dokumenty, potwierdzające: naszą tożsamość, związek, kompetencje, zatrudnienie etc. Pewnym paradoksem był fakt, że przy całym administracyjnym zawirowaniu klucze od mieszkania dostaliśmy od razu po wpłaceniu pierwszego czynszu. Nie korzystaliśmy zatem z hoteli, ponieważ mieliśmy gdzie nocować, co też oznaczało, że powoli trochę urządzaliśmy nowe lokum. W końcu po miesiącu byliśmy umówieni z panią Niną na ostateczne załatwienie niezbędnych formalności. Spotkanie w urzędzie wyznaczono w 40 godzinie naszego pobytu. Dość szybko zorientowaliśmy się, że niestety sprawa ponownie nie



fot. Dominika Łarionow

zostanie zakończona i nie uzyskamy upragnionego meldunku. Mieliśmy wtedy samochód na polskich numerach. Mariusz, wychodząc z pokoju urzędnika powiedział, że musimy natychmiast wyjeżdżać. Nikt z nas nie wiedział, co może się stać, gdybyśmy przekroczyli 48 godzin bez posiadania podstemplowanej kartki granicznej. Wśród znajomych krążyły dziwne opowieści, zaczynając od możliwości aresztu, po konfiskatę mienia (w tym wypadku auta). Napięcie było duże, ale konieczność szybkiego przekroczenia granicy, przed którą stanęliśmy wiązała się z inną przeszkodą. Chodziło o pokonanie długiej kolejki pustych ławet, które w tamtym okresie masowo jeździły do Polski. Przywoziły skupywane lub kradzione auta zachodnich marek. Samochody były dość drogo sprzedawane na Białorusi. Paradoks ekonomiczny był taki, jak niegdyś w Polsce, bo opłacało się kupić używany pojazd zachodni niż egzemplarz rodzimej, czyli w większości rosyjskiej produkcji.

Posterunki graniczne znajdują się tuż za miastem. Nie wiedzieliśmy, czy zdołamy zmieścić się w wyznaczonym przepisami czasie. Pas niepełna kilku kilometrów zwykle pokonywało się w czasie około pięciu godzin. Wtedy patrzyłam z narastającą wściekłością na sznur przepuszczanych przez pograniczników lawet. Po dwóch godzinach wysiadłam i zapytałam mundurowych, którzy nosili na głowie absurdalnie wielkie czapki, dlaczego wstrzymują ruch osobówek. Wściekły pogranicznik nie odpowiedział tylko zabluznił, udzielając mi tym samym szybkiej lekcji wszystkich znanych wulgaryzmów używanych w języku rosyjskim. Jakiś mężczyzna widząc całą scenę wysiadł z prywatnego auta, które tak jak my też czekało w kolejce. Zostałam dyskretnie przez niego poinformowana, że mam wsiąść do własnego samochodu, bo inaczej w ogóle nie przekroczę granicy. Sugerował jednocześnie, że jak nadal będę zgłaszać pretensje, to może mi się stać krzywda nawet po wjechaniu na teren Polski. I choć nie wiedziałam, czy to jest tylko dobra rada, udzielona przez życzliwego kierowcę, czy raczej realna groźba, to jedno stało się dla nas dość jasne: tu był inny świat i inne zasady. Była to także szybka lekcja mafijnej rzeczywistości, która okazała się dobrą szkołą na cały nasz pobyt w Brześciu. Z ulgą wjechaliśmy do Polski.

Po tych wydarzeniach ostatecznie nasza pani Nina zrezygnowała z wynajmowania mieszkania. Zaprzyjaźniony Białorusin poradził nam zmianę taktyki. To nie my mieliśmy szukać ogłoszeń w gazecie, tylko mieliśmy je zamieścić. I faktycznie sprawy potoczyły się niebywale szybko. Na nasz anons odpowiedział pewien pan, który chciał wynająć pół domu. Niezbędne formalności załatwiliśmy w dobie. W urzędzie meldunkowym mundurowy, który przeglądał nasze papiery zabrał oryginał aktu ślubu. Mariusz zawsze był skrupulatnym człowiekiem, dlatego ośmielił się zapytać urzędnika, po co mu był potrzebny dokument w języku polskim, skoro miał wszystkie skany oraz przekład wykonany przez brzeskiego tłumacza przysięgłego. Wszystkie papiery miały też okrągłe, zielone pieczętki, co było najważniejszym elementem, potwierdzającym ważność. Mężczyzna popatrzył uważnie najpierw na mnie, a potem powiedział spokojnie do męża: *Pan może mieć jedną żonę w Rusi, jedną na Białorusi, a jedną w Polsce. A ja muszę mieć porządek w papierach.* Mariusz był niebywale rozbawiony i oczywiście skomentował z radosnym przekąsem: *To mogę mieć trzy żony.* Musiałam go dyskretnie kopnąć pod

stołem. Cała sytuacja odbyła się w bardzo poważnej atmosferze, nie mogliśmy zacząć się śmiać, bo to mogłoby zniweczyć pomyślny kierunek załatwienia naszych spraw meldunkowych. W tamtym świecie urzędnik był bogiem, a obywatel zwykłym, przeszkadzającym petentem.

Nasz nowy dom był drewniany, położony wśród podobnych zabudowań, za torami, blisko centrum. Uliczki nie były wyasfaltowane, więc albo było błoto, albo unosił się kurz. Wszędzie chodziłam pieszo, uwielbiałam oglądać choć może lepiej brzmi podpatrywać życie ludzi. Większość zabudowań ulegała powolnej destrukcji, widać było ślady chaotycznego łatania zniszczeń wywołanych przez czas. Zapewne ściany domów pamiętały jeszcze swoich polskich lub żydowskich właścicieli. Parcele były niewielkie, ogrody małe. Wszędzie były okna inspektowe, hodowano wszystko. Nieco później zrozumiałam, dlaczego w tych przydomowych ogródkach było tak mało kwiatów. Tymczasem dość szybko zdaliśmy sobie także sprawę, że nie tylko my lubimy obserwować, co było związane z naszą typowo ludzką ciekawością tego pozornie odmiennego świata. Ale my też staliśmy się podmiotem ciągłej obserwacji. Okazało się, że byłam mało przewidująca, bo w domu, w jednym z dostępnych dla nas pokoi, na stoliku z dumą leżała elegancka czerwono-czarna makatka z napisem: *ORMO Biała Podlaska*. Powinnam się od razu nad tym zastanowić, a potraktowałam ten dekoracyjny kawałek materiału niczym zabawny gadżet z poprzedniej epoki. Po jakimś czasie, zaczęliśmy w mieszkaniu zastawiać małe pułapki, dzięki temu udało nam się ustalić, że wchodziło, co trzy dni. Nie prowadziłam w Brześciu regularnego życia, w przeciwieństwie do Mariusza, który codziennie chodził do biura i wracał o przewidywalnych godzinach. Zatem obserwacja, kiedy wychodzę była zapewne dość pracowitym wyzwaniem. Nie rozumiałam ani powodu ciągłej inwigilacji, ani pewnej regularności w przekraczaniu naszej prywatności. Wyjaśniono mi, że chodzi o wymianę taśmy, bo podsłuchy na Białorusi działały na starych systemach. Z faktem nieustającej inwigilacji po prostu musieliśmy się pogodzić, z tym nie mogliśmy walczyć. O ważnych kwestiach nie dyskutowaliśmy w domu, staraliśmy się też nie narażać znajomych.

Obserwacja dotyczyła również innych sfer życia, nie tylko kwestii naszego domu. Przykładem może być festiwal teatralny *Biała wieża*, na który uzyskałam akredytację. Dyrektor miejscowego teatru był tym

faktem poruszony, ponieważ w 2008 roku byłam jedynym teatrologiem z zagranicy, który chciał obejrzeć wszystkie spektakle. Wysoki, elegancki mężczyzna przyjął mnie w swoim gabinecie i chwalił się, że grał w Polsce w jednym przedstawieniu teatru telewizji. Wcielił się w postać Stalina. Gdybym nie znała realności życia w Brześciu zapewne potraktowałaby jako ironię fakt, że przydzielił mi dwóch miejscowych dziennikarzy, którzy stali się moim jedynym towarzystwem na wszystkich festiwalowych wydarzeniach. Ci ludzie nigdy nie zostali mi przedstawieni z imienia i nazwiska, po prostu pojawiali się i nie odstępowali mnie na krok. Byłam pytana, co widziałam, co mi się podobało, co nie. Byłam też odprowadzana do domu. Moja „ochrona” znajdowała się w teatrze od razu jak tylko pojawiałam się w głównym holu, nie można było bez narzuconego towarzystwa wypić spokojnie chociażby herbaty. Inwigilacja była immanentną częścią systemu. W tej realności nadzoru zaskakiwał fakt, że nikt się temu nie sprzeciwiał. Białorusini traktowali działalność KGB jako integralną część ich świata. Pracownik Mariusza, Polak z zaskoczeniem odebrał kiedyś telefon od milicji. Zadano mu konkretne pytanie, czy jak poprzedniego wieczoru wracał tą i tą ulicą, o tej godzinie, to czy nie widział czegoś podejrzanego. Znalaziono wtedy w krzakach, obok których przechodził ciało mężczyzny. Nasz kolega strasznie się przestraszył, zarówno faktu, że nieświadomie minął trupa, ale także informacji, że milicja wie, o której i gdzie przechodził z dokładnością do każdej minuty. Zapewne wiedzieli również, gdzie biedaczek zabalował i z kim. Nie sądzę, żeby Brześć wówczas miał tak doskonały monitoring miasta. Raczej za naszym znajomym podążał wierny towarzysz. Białorusini wydawali się ludźmi, którzy albo nie zdawali sobie sprawy, że gdzieś istnieje świat bez ciągłego nadzoru, albo pomijali ten problem przyjmując zachowawczą strategię na przeczekanie systemu Łukaszenki.

Otoczająca nas realność wymagała zapoznania się z innymi detalami, które były niezbędne dla prowadzenia normalnego życia codziennego. Po wynajęciu mieszkania stanęliśmy przed kilkoma dość prozaicznymi problemami. Nasz właściciel nie zostawił ani kołder, ani poduszek. Oznaczało to konieczność szybkich zakupów. Obeszłam pilnie całe centrum Brześcia, ale nie znalazłam niczego pod czym moglibyśmy spać. Była wczesna jesień i było już nieco chłodno, szczególnie w nocy, a ja miałam przed sobą perspektywę spania pod własnym płaszczem. Znajoma Białorusinka wyjaśniła mi w dwóch zdaniach, co mam zrobić:

Po poduszki i kołdry idź na pocztę. Tam wszystko kupisz. Po proszek do prania idź do sklepu elektrycznego. Tam wybierzesz, co chcesz. Tych kilka zdań było dla mnie cudowną, magiczną różdżką, dzięki której w kilka chwil rozwiązały się wszystkie problemy. Kryzys, który był immanentną częścią systemu wprowadzonego przez Łukaszenkę wytworzył odmienny, poza-zwyczajny obieg ekonomii. Znajomość pewnych reguł tego świata pozwalała nie pogubić się w prozie życia, podobnie jak było w Polsce lat osiemdziesiątych końca dwudziestego wieku. Zarządzanie kryzysem przez rząd oznacza wytworzenie rzeczywistości z ograniczonym dostępem do dóbr. Jednocześnie niezbędna była wiedza kto miał produkt, którego potrzebowaliśmy. Różnica pomiędzy okresem PRL- u a Białorusią początków dwudziestego pierwszego wieku dotyczyła wszechobecnych kolejek. W Polsce zapisywaliśmy się na reglamentowane produkty, staliśmy i czekaliśmy na dostawę. Sytuacja ekonomiczna wymusiła wtedy nowy styl prowadzenia życia towarzyskiego, które wręcz rozkwitało przed betonowymi sklepami „Społem” lub innymi spółdzielniami handlowymi czasów PRL. W 2008 roku za wschodnią granicą nikt nie tracił czasu w kolejkach, problem dotyczył tylko pieniędzy. Obowiązywała prosta zasada: masz forszę, masz wszystko, ale jak nie masz gotówki, dolarów, to nie masz niczego. Z wielkim zdziwieniem oglądałam sukienki, bluzki, płaszcze kupione w sklepach znanych marek w Polsce, które w Brześciu były sprzedawane za cenę dwukrotnie wyższą. Te towary były dostępne tylko ze względu na bliskość granicy, co dawało miastu mir na całą Białoruś porównywalny z tym, którym cieszył się kiedyś bazar w Rembertowie.

Zaopatrzenie w produkty spożywcze było moim największym zmartwieniem w czasie całego pobytu. Białoruś słynie z produktów mlecznych, naszą słabością był *syrok* czyli serek waniliowy w bloku, obłożony czarną, gorzką czekoladą, sprzedawany na sztuki. To była nasza fantastycznie kaloryczna namiętność, która jednak nie mogła być obiadem. Sklepy spożywcze oferowały kasze, mleko, sery, makarony i puszki z rybami etc. Można było też kupić mięso mrożone, które było po prostu sine, a czasem wręcz lekko zielonkawe. Skusiliśmy się raz, bo byliśmy w jakiejś desperacji. Przez dwie godziny z uporem poddawaliśmy nogi kurczaka jakimś zabiegom kulinarnym by ostatecznie skapitulować. Obiad był nie do jedzenia.



fot. Dominika Łarionow

W mieście był jeden zadaszony plac handlowy, na którym można było kupić świeże mięso, ryby, warzywa. Ceny produktów były bardzo wysokie. W Terespolu, czyli po drugiej stronie Bugu truskawki kosztowały 2–3 zł, a w Brześciu po przeliczeniu ceny rubla 25–30 zł. Pomidory, ogórki, rzodkiewki etc. należały do produktów wręcz luksusowych. Fascynujący był fakt, że w kraju rolniczym były ciągłe braki w zaopatrzeniu miast w produkty wytwarzane w działających ponoć prężnie kołchozach. W telewizji informowano na bieżąco o dobrych plonach i pomyślności rolniczej. Białorusini wydawali się być odporni na język medialnej propagandy. Ta kryzysowa niedostępność podstawowych produktów spożywczych nie wytworzyła też na Białorusi bumu nielegalnego obiegu handlowego tzw. czarnej strefy, tak jak było w Polsce w schyłkowej fazie PRL. Tak przeze mnie podziwiane przydomowe brzeskie ogródki, hodowały wszystkie rarytasy na potrzeby jednej rodziny. Wciąż istniała bowiem, realna groźba kary tzw. podatkowego domiaru. Rolnicy także nie przywozili np. pomidorów, sałat, kapusty do miasta na rynek, bo komunizm, a później reżim Łukaszenki skutecznie zabił zarówno inicjatywę, jak i możliwość drobnej produkcji rolnej.

Przestrzeń przeznaczona na miejski plac handlowy była centralnie uregulowana. Betonowy budynek miał kształt rotundy. Całość była zadaszona, a we wnętrzu były stoiska i obowiązywał prosty podział hali: lewa strona dla ryb, prawa dla mięsa. Po podłodze spływało coś na kształt rynsztoka. Nie było dobrej wentylacji, zapachy z uboju mieszały się z resztkami rybich wnętrzności. Działem mięsnym kierowała niebywała kobieta, która zawsze siedziała za rzeźnickim drewnianym pniem. Miałam wrażenie, że sterczą z niego wielkie drzazgi. Dama brzeskiego rynku miała fioletowe włosy i u nasady głowy dopiętą małą, białą furazerkę. To nakrycie było charakterystyczne dla wszystkich sklepowych. Jednakże w wypadku rzeźniczki w tym elemencie kostiumu handlowego była jakaś celowa karykatura, a może kpina z munduru żołnierki Armii Czerwonej. Bohaterka mięsnego miała dokładny makijaż, cienie na oczach prezentowały pełną kolorystykę tęczy, zawsze miała długie paznokcie perfekcyjnie pomalowane na czerwono. Była niewysokiego wzrostu, korpulentna o ewidentnie silnych, potężnych ramionach zdolnych do utrzymania, każdego z kilku rodzaju toporków potrzebnych do fachowego rozkładania kolejnych połaci wiszących półtuszy. Warstwy

ułożonych wokół niej mięś były istotą królestwa, w którym rządziła wręcz absolutnie. Koloryt tej niezwyklej heroiny przydawał miejscu szczególnie fantastycznego uroku o surrealistycznym posmaku.

Rynek brzeski był dla mnie miejscem zaskakującym, ponieważ nie było na nim ludzi. Pojawiali się z okazji świąt religijnych lub państwowych, czyli gdy w pracy wypłacano premie. Wszechobecna drożyzna skutecznie przepędziła mieszkańców i to pomimo braków wielu towarów w sklepach. Uważam, że w odniesieniu do Białorusi należałoby wprowadzić nowe dookreślenie słowa: głód. Jedzenie z jednej strony było dostępne, ale z drugiej strony jego cena powodowała, że nie można było nic kupić w wystarczającej ilości i jakości. Zatem codzienna dieta przeciętnego Białorusina była niezwykle uboga. Oczywiście w Brześciu były trzy eleganckie restauracje, które oferowały wyszukane dania, ale ich koszt był równy przeciętnej miesięcznej pensji zwykłego mieszkańca. Zawsze latem pojawiało się kilka barów, w których można było zjeść nieco taniej szaszłyki z wieprzowiny i wypić piwo. Najbardziej deficytowe były warzywa i owoce, a poza sezonem były prawie w ogóle niedostępne. Tuż przed naszym powrotem do Polski w Brześciu otworzono nowe delikatesy, które sprzedawały towary luksusowe. Usytuowano je w prostokątnym, płaskim pawilonie przy bulwarze Kosmonautów. Elegancki sklep nosił nazwę: Kosmos. Do tego prawie między galaktycznego magazynu ustawiały się kolejki po koszyki. Część osób wchodziła tam jedynie by sobie popatrzeć. Podobnie w Polsce wchodziło do słynnych walutowych Pewex-ów, żeby obejrzeć kolorowe produkty. W tym oglądaniu było zawsze coś niesamowitego, jakby wzrok stawał się głównym organem potwierdzającym istnienie innego świata. Bez tego patrzenia mózg nie potrafił sobie wyobrazić tego obcego kolorytu.

W pewnym momencie naszego pobytu urzędujący w Brześciu Konsul RP zaprosił mnie na wizytację szkoły polskiej, działającej na wsi niedaleko miasta. Wioska nazywała się Pyliszcze i miała w większości drewnianą, starą zabudowę oraz zgodnie z nazwą piaszczystą drogę. Szkoła była w jednej z chałup. Był to dwuizbowy stary budynek z klepiskiem zamiast podłogi. Uczniowie przyjęli nas serdecznie, mieli przygotowane wystąpienia o historii swoich rodzin. Były to opowiadania o rozerwaniu więzi rodzinnych przez emigrację jednych i pozostanie drugich na rodzinnej ziemi. System stalinowski odbierał mieszkańcom

godność poprzez nie tylko zabór dóbr, ale też nadawanie nowych nazwisk. Pozbawiano ludności tożsamości etnicznej, religijnej, obywatelskiej. To było bardzo przejmujące. Szkoła utworzona po 1989 roku otrzymywała polskie książki w darze z rodzinnego kraju. Młodzież żarliwie uczyła się języka przodków uważając, że uzyskanie Karty Polaka oznacza dla nich przepustkę do lepszego, bo zachodniego świata, który jawił się jako szczęśliwy, kolorowy, bogaty, czyli inny niż znana białoruska codzienność.

Po spotkaniu w szkole jedna rodzina zabrała nas na obiad. Weszłam do domu, który od frontu był drewniany, a później miał kilka przypadkowo doczepionych przybudówek. Rozbudowa domostwa ewidentnie odbywała się bez planu, na zasadzie inwestowania nagle zdobytych funduszy. Mieszkała w nim rodzina z piątką dzieci. Przeszliśmy przez kuchnię, potem płataniną korytarzy by na koniec wejść do ciasno umeblowanego pokoju. Na jednej wolnej ścianie była przyklejona wielka fototapeta, która prezentowała kominek z zapalonym otwartym paleniskiem we wnętrzu jakiegoś zamczyska. Przy innych ścianach stały meblościanki, a pośrodku znajdował się stół. Od razu zastanowiło mnie, dlaczego zostało nakryte tylko dla nas. Konsul wyjaśnił mi, że my będziemy jeść sami, do stołu nie usiedli ani gospodarze, ani nikt ze wsi. Natomiast wszyscy stali na progu i patrzyli się na nas. Na stole pojawił się rosół w wazie na młodej włoszczyźnie, później na półmiskach: surówka z pomidorów, kotlety mielone i ziemniaki. Zamarłam, bo miałam już wtedy ponad roczne doświadczenie w prowadzeniu domu. Wiedziałam, że ten obiad kosztował fortunę, dosłownie nie mogłam nic przełknąć. Konsul wyjaśnił mi, że muszę zjeść, bo cała wieś składała się na nasz posiłek. Odmowa obiadu byłaby dla gospodarzy równoznaczna z afrontem. Poradził mi, żeby nałożone porcje nie były duże, bo po naszym wyjeździe gospodarze i inni mieszkańcy wsi zjedzą, to co zostanie. Było to dla mnie najbardziej przejmujące i osobiste doświadczenie głodu, w jego białoruskiej postaci. Poznanym rodzinom polskim staraliśmy się pomagać, bo im brakowało dosłownie wszystkiego, zaczynając od proszku do prania, a na innych drobiazgach życia codziennego kończąc. Wszyscy nasi nowi znajomi mieli w sobie niezwykły szacunek do języka polskiego. Na akademiach w szkole polskiej w Brześciu uczniowie recytowali poezję Juliusza Słowackiego czy fragmenty z *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza z wielką



fot. Marcin Bałczewski 

pasją i miłością. Ich patriotyzm silnie opierał się na paradygmacie romantycznym, który wydawało się pełnić funkcję wręcz „deski ostatniego ratunku”, która miała się stać wehikułem do lepszego życia.

Krajobraz Brześcia często przypominał o historii miasta, a także o minionych epokach. Z fascynacją oglądałam na ulicach nadal jeżdżące samochody dostawcze pamiętające ZSRR.auta sprawiały wrażenie eksponatów wyjętych ze złomowiska, o sylwetce zdegradowanych czołgów. W mieszkaniu pani Niny w kuchni stał kołchoźnik, czyli lokalny radiowęzeł. W Polsce tego typu innowacyjność socjalistyczna zaniknęła wraz z upadkiem komunizmu. W Brześciu ciągle działał i nadawał pierwszy program państwowego radia oraz wszystkie niezbędne komunikaty dla miejscowej ludności. Wykazałam się brakiem znajomości technologii medialnych, bo początkowo do gniazdka przeznaczonego tylko dla wtyczki kołchoźnika, usiłowałam podłączyć żelazko, które oczywiście nie chciało działać. Natomiast gdy weszliśmy pierwszy raz do wynajętego domu, jego właściciel z dumą pokazał nam wannę przez siebie zbudowaną. Była to konstrukcja o żeliwnej podstawie, która została zabetonowana i wyłożona niebieskimi ściennymi kafelkami. Kąpiele w niej były nieco niebezpieczne, bo wchodziło się niczym do pseudo-basenu, który jednak nie miał żadnej amortyzacji. Ta innowacja łazienkowa była uzasadniona przez ekonomię braku, bo wanny jako części instalacji sanitarnej zapewne po prostu nie można było normalnie kupić.

W tej rzeczywistości były jeszcze inne obrazy, mniej humorystyczne. Dramatycznie wyglądały stojące na brzeskich bocznicach wagony bydłce z otwartymi drzwiami. Było ich dużo. Musiałam je mijać za każdym razem, gdy szłam do sklepu. Zawsze zastanawiałam się zarówno po co tu stoją, jak i dlaczego wciąż są otwarte? Wydawało się, że zniszczone, zardzewiałe cały czas czekają na jakiś załadunek. Przestrzeń Brześcia była naznaczona historią, szczególnie w jej niszczycielskim wymiarze. Mieszkańcy w ciągu ostatnich stu lat widzieli eksterminacje, wywózki i masowe przesiedlenia. Sami też padli ofiarą wielu zawirowań politycznych, wojennych, społecznych i historycznych. Wiem, że martwe przedmioty nie mogą mówić, ale brzeskie wagony były świadkami dwudziestego wieku i być może uczestniczyły w niejednej niechlubnej trasie. Były nieme. Zawsze, gdy je mijałam miałam wrażenie, że mogę usłyszeć wydobywający się z ich otwartego wnętrza krzyk lub cichą prośbę



fot. Dominika Łarionow

o podanie wody lub chleba. Było to imaginacyjne odczucie, którego wymiar był niezwykle sensualny.

O Brześciu i Białorusi nie można mówić pomijając doświadczenie o smaku alkoholu. To część systemu. Brak jedzenia był rekompensowany przez szeroko rozumiany dostęp do wszelkiego typu napojów procentowanych, czasem o mocno innowacyjnej recepturze. Mariusz chodząc piechotą do pracy z naszego domu zawsze mijał między 7 a 8 rano grupę miejscowych pijacków. Panowie dość uprzejmie zapraszali go na kieliszek, a gdy odmawiał delikatnie prosili, aby raczył dołożyć się do ewentualnych zakupów, które zamierzali wykonać w najbliższej przyszłości. Dialog pomiędzy „sąsiadami” zawsze miał niezwykle elegancki przebieg, którego finał skupiał się na uzyskaniu dotacji paru rubli na butelkę. Tylko w Brześciu widziałam leżących mężczyzn, obejmujących w czułym uścisku stopnie małych schodów wiodących do sklepu z alkoholem. Nikt na takie sceny nie zwracał uwagi, po prostu były wpisane w miejscowy krajobraz. Zrobiłam zdjęcie pewnej kartce, którą jakaś miła sklepowa w furazerce powiesiła zapewne w momencie zdenerwowania. Napis w języku rosyjskim głosił, że: *Osobom pijanym i z psychicznymi problemami, książka skarg i zażaleń będzie wydawana jedynie w obecności pracownika milicji.*

Picie nie dotyczyło tylko mężczyzn. Białorusinki to piękne kobiety, po ulicach chodziły jak po eleganckim wybiegu: wysokie, zgrabne, niezwykle ubrane, jak na możliwości zakupów. Zachowywały w stroju wszelkie konwencje: torebka dopasowana do butów, umalowane dokładnie paznokcie, perfekcyjny makijaż. Mariusz w trakcie mojego pierwszego pobytu w Brześciu zabrał mnie na obiad w barze, koło biura. Było to przy ulicy Sowieckiej, która należała do ścisłego centrum miasta. Było czerwcowe, upalne południe. W barze serwowano jedną potrawę: kurczaka z ryżem. Talerz odbierało się przy kasie, obok której stała taca ze szklankami tzw. angelkami wypełnionymi jakąś bezbarwną cieczą. Początkowo pomyślałam, że to woda, podana w odmierzonej ściśle ilości niczym kompot niegdyś na stołówkach szkolnych. Mąż mi uświadomił, że to były setki wódki. Do kontuaru podchodziły piękne dziewczyny, pracownice miejscowych biur, chodzące na dziesięciocentymetrowych szpilkach. Zamawiały to niewyszukane danie i alkohol, który był zwyczajnym dopełnieniem menu obiadu. Białoruskie kobiety jednak piły

inaczej niż mężczyźni. Nie leżały pod sklepem, nie stały z butelkami na ulicy. Były dyskretniejsze, przez może to elegantsze. Myślałam nawet, że kobiety brzeskie zupełnie nie pasowały do tych mężczyzn mijanych na ulicy. Chodziły na szpilkach niezwykle sprawnie po trotuarze, choć chodniki w większości nie były wyłożone równą kostką tylko zalane asfaltem pomieszanym z kamieniami, a okalające je krawężniki były wysokie. Zimą wszystko było skute lodem, a one nadal na ulicach w trakcie dużego mrozu pojawiały się w mini spódnicach, kozakach do kolan na wysokim obcasie. Z akrobatyczną sprawnością lawirowały pomiędzy śliskim śniegiem, a wysypanym gdzieś tam piaskiem. Ewidentnie kobiety brzeskie stroiły się nie dla mężczyzn tylko dla siebie i dla innych mijanych koleżanek na ulicy. Białorusini byli nieatrakcyjni, ubrani zwykle szaro, brązowo, bardzo konwencjonalnie. Zimą nosili sweterki w dziwne wzory, latem chodzili w nieforemnych, źle skrojonych koszulach non-airon, często też ze swobodą przeżyli nagie torsy w centrum miasta. W ich postawie na ciągłym rauszu było coś bardzo nieszczęśliwego, nieokrzesanego lub zupełnie zagubionego w tej dziwnej rzeczywistości. Ten stan dobrze oddawały napisy, które można było przeczytać w różnych miejscach miasta. Rozczuliło mnie błagalne wyznanie wypisane farbą na chodniku: *Moja dziewczyna pojechała na kraniec świata*. Rozwody na Białorusi były bardzo powszechne. Kobiety radziły sobie lepiej w tej rzeczywistości na opak wywróconej, wiele z nich chciało wyjechać i robiły to odważniej oraz chętniej niż mężczyźni.

Białorusini sprawiali wrażenie ludzi niekontestujących zastanej sytuacji, ich strategia wynikała ze znajomości geo-polityki, która uczyniła z ich kraju przestrzeń od wieków usytuowaną pomiędzy wpływami Zachodu i Wschodu. Miałam wrażenie, że oni spokojnie czekają na odpowiedni czas. Alegorycznie, ale dobrze definiował to napis, który znalazłam na ścianie budynku przy sklepie: *Intelligent dans music*, co można przetłumaczyć jako: *Intelektualny taniec*, na końcu umieszczono klasyczny rysunek serduszka zamiast kropki. Jego autor zabawił się ze swoimi odbiorcami, bo całość była czytelna przy znajomości języka rosyjskiego, ale została napisana w alfabecie łacińskim. Językowe grafity było w kontrze do równie widocznych w przestrzeni miasta haseł propagandowych jak m.in.: *Czyste miasto, mili ludzie*. Były to slogany pozornie obojętne politycznie, ale kultywowały pewien paradygmat znany

z reżimowej wizji społeczeństwa. Białorusini na początku dwudziestego pierwszego wieku powoli zaczęli się budzić z letargu, powoli też zaczęli negować powszechną strategię inercji i oportunistów. Młode pokolenie zaczynało inaczej patrzeć na świat, to widać było w tej niebywałej bitwie na slogany i hasła widocznej w przestrzeni publicznej.

Jesienią 2020 roku w okresie światowej pandemii Covid-19 Białorusini demonstrowali we wszystkich głównych miastach, pokazując światu siłę narodowego zrywu. Nasi brzescy przyjaciele też byli na ulicach. Ślali nam smsy, bo my już tam nie mieszkaliśmy od ponad dekady. Teraz przenieśliśmy się do Paryża, w którym w czasie zaostrzenia obostrzeń sanitarnych przy Rue de Rivoli w małej, przypadkowej galerii można było obejrzeć wystawę zdjęć z represjonowanego Mińska i innych miast, usiłujących walczyć z reżimem Łukaszenki. Białoruś widziana przez pryzmat światła i nurtów Sekwany wydawała się krajem odległym, a wydarzenia, które tam przeżyliśmy były wręcz nierzeczywiste. Chciałabym jednak zobaczyć kiedyś Brześć w ferii kolorowych lampionów, które byłyby tak samo nieuchwytnie jak migoczące światełka przy Champs-Élysée w owo szczególne dla wszystkich Boże Narodzenie 2020 roku.

Paryż, wrzesień 2021 roku.

MY WOŁAMY, WY NAGŁAŚNIACIE

Rozmowa ze Swiatlaną Kurs oraz Andriejem Chadanowiczem,
która odbyła się w czerwcu 2021 roku w Domu Literatury w Łodzi

Mateusz Sidor: Prezydent Aleksander Łukaszenka rządzi Białorusią nieprzerwanie od blisko 30 lat. Jak widzicie obecną sytuację w waszej ojczyźnie z perspektywy tłumaczki i poety?

Andriej Chadanowicz: Nie czuję się fachowcem od polityki, powiem tyle co zwykły człowiek na ławeczce pod blokiem, ale taki z nieobojętnym sercem. Zaczęliśmy perspektywą 30 lat to poruszę parę spraw. Na Białorusi mówi się: *Mniej istotne jest jak ludzie głosują, ważniejsze kto liczy głosy*. Wybory w 1994 roku mniej więcej spełniały wymogi demokratyczne. Wygrał je, jak to się dziś określa *underdog*, czyli Łukaszenka. Ale głosy w kolejnych wyborach liczono już według innej arytmetyki. Wybuchły protesty, ale nie wystarczyły, by odzyskać skradzione głosy. W tej perspektywie latem 2020 roku wszystko się zmieniło. Na ulicę wyszło nie tysiąc czy 50 tysięcy ludzi, ale pół miliona. Byli gotowi wychodzić dzień w dzień, jak do pracy. Zaczął się fantastyczny karnawał, bo myślano, że sprintem wywalczy się zwycięstwo. Protesty przekształciły się jednak w rutynową, trudną robotę, okazało się, że to będzie maraton. Inny też był zasięg wystąpień, wcześniej protestowała raczej stolica, tym

razem już cała Białoruś. Mieszkam w niewielkich Prużanach w obwodzie brzeskim, gdzie na protesty wyszedł co dziesiąty obywatel, nie licząc dzieci i osób starszych. Inna sprawa to zmiana podejścia do polityki, o której mówiono, że jest niejednoznaczna, nawet odstręczająca. Ostatni rok pokazał, że – jak w bajce dla dzieci – polityka jest czarno-biała. Już nie da się usprawiedliwiać władz. Po ich stronie stoją ubrane na biało, śpiewające dziewczynki oraz emeryci. Co też okazało się mitem, na ulice masowo wyszli również ludzie starsi, stając naprzeciwko czarnej – bo nawet nie szarej – masy z zakrytymi twarzami, gumowymi pałkami, gotowej bić, strzelać i torturować. Bronią okazał się pokojowy protest wypełniony recytowanymi wierszami, piosenkami, performansami i teatrem ulicznym. Władze zorientowały się, że kultura jest jedną z głównych sił protestu i zaczęła aresztować za czytanie i śpiewanie.

Swiatlana Kurs: Klucz do polskich i białoruskich problemów leży w Rosji. Pod zaborami Polacy zwoływali się na powstania, podobnie jak na Białorusi, gdzie od lat 90. każde pokolenie przeżywa porażkę protestów. Obawiam się, że zryw z lata 2020 roku też może tak skończyć. Chyba że dorośliśmy, otrząsnęliśmy się z widma stalinizmu i wpływu dzisiejszej Rosji, która zatowarowała nasz naród. To zresztą imperialna tradycja stosowana w Donbasie, Abchazji czy Naddniestrzu. W tych regionach następuje społeczna degradacja, panuje wyuczona bezradność, czyli to co Rosja teraz robi z Białorusią. Los kraju leży w rękach Białorusinów i nie wszystko zależy od prezydentów Stanów Zjednoczonych i Rosji. Jeśli obecna sytuacja potrwa dłużej istnieje niebezpieczeństwo, że stanimy się drugim Donbasem. Pojawia się pytanie czy protesty nie powinny przybrać bardziej konfrontacyjnego charakteru, tak jak to miało miejsce na Ukrainie. Ale sądzę, że nie jest to możliwe, bo reżim Łukaszenki to talitaryzm. Na Białorusi funkcjonują kolonie karne przypominające łagry, w których ludzie głodują, są poniżani i katowani. Witold Aszurok, niepodległościowy aktywista, zmarł w jednej z takich kolonii.

Andriej Chadanowicz: Mówiąc o literaturze, to książki i czasopisma bywają na Białorusi aresztowane. Niezależni wydawcy drukują książki na Słowacji czy na Litwie, bo jest taniej. A na granicy nakłady są zatrzymywane. Tak się stało nawet z komercyjnym *Harrym Potterem*, ale też



fot. Marcin Bałczewski 

z książką Alhierda Bacharewicza, którego powieść i jego samego podejrzewają o ekstremizm.

SK: Dla władz wszystko jest ekstremizmem, nawet stare hasło „Żywie Białaruś”. Jesteśmy miłymi ludźmi, ale potrafimy być zaciekli. Białorusin wyprowadzony z równowagi przechodzi do partyzantki. Ale wyjdzie też na plac, z którego nie schodzi przez kilka miesięcy, tak jak w latach 90., kiedy tłumnie ruszyli robotnicy. Mój naród potrafi mnie zadziwić. Czasem, z poczuciem pewnej wyższości, myślałam: *I co oni teraz zrobią?* Ale zostaję zaskoczona przez moich współobywateli. Może dlatego zostałam białoruską pisarką, bo fascynuje mnie ta dynamika.

Maciej Robert: *Co oni teraz zrobią?* – zastanawiam się, czy nie miała pani myśli 1937 roku. Paralela między okresem stalinowskich czystek i dniem dzisiejszym pojawia się w waszych tekstach.

SK: Jesteśmy w 1937 roku, mamy ofiary śmiertelne, morderstwa bez sprawców, porwania. Tylko dziś totalitaryzmy nie mogą robić czego zechcą. Są prawa człowieka i organizacje międzynarodowe, których

Łukaszenka nie może zignorować. Naszym, literatów, zadaniem jest, by temu złu się przeciwstawić i by nie doszło do zagłady już nie tylko narodu białoruskiego. Nie łudzę się, to jest możliwe.

MS: Wspominała Pani o ostatnio aresztowanych osobach, w jakim stopniu represje dotyczą ludzi kultury?

SK: W kontekście protestów nie dzielę ludzi na tych od kultury i pozostałych. Na Białorusi nastąpiła eksplozja kreatywności i społecznej twórczości, porównywalnej z polską Pomarańczową Alternatywą. Ludzi kultury prześladowają tak samo jak innych. Osobiście poruszają mnie historie nieznanymi, młodych osób. Na przykład 17-letniej dziewczyny, która dostała wyrok za siedzenie na postsowieckim pomniku, bo sąd orzekł, że „usiadła pupą”. Obecnie [czerwiec 2021 – red.] więzionych jest około pięciuset osób, wśród nich również prawie dzieci. 16-letni chłopak, bojąc się odsiadki, rzucił się z wieżowca. Jego ciała nie oddano rodzinie, tylko spalono i zakopano.

MR: Pani Swiatłana jest dość tajemniczą pisarką. Szukałem pani tekstów w antologii *Wschód Wolności* i nie znalazłem. Dopiero pan Andrej uświadomił mi, że powinienem szukać Ewy Wieźnawiec. Okazało się, że to niejedyny pani pseudonim. Skąd ta aura pisarskiej tajemniczości?

SK: Pochodzę z małego miasteczka, właściwie wsi. Zawsze chciałam pisać, nie bacząc na konsekwencje moich tekstów i czy pewnego dnia będę mogła się pokazać w rodzinnych stronach. Jednak wymyśliłam pseudonim i jako Swiatłana Kurs byłam dziennikarką, a jako Ewa Wieźnawiec pisałam. Myślałam naiwnie, że nikt mnie nie zdemaskuje, ale szybko okazało się, że to tajemnica poliszynela. Tak już zostało i pod pseudonimem pisałam teksty, za które mogłabym oberwać. Pseudonim to moje *alter ego*, które nie boi się polityki, konwenansów społecznych, ani trudnych pytań – choćby o alkoholizm czy wypaczenia społeczne. Pod pseudonimem ukazała się moja nowa książka *Po co idziesz wilku?*, opowiadająca o białoruskiej historii od 1918 do 2018 roku. Opowiadająca w sposób bezwzględny dla moich rodaków.

MR: A czy jedna z siostr, bohaterka z opowiadania *Dożynki*, to pani *alter ego*?

SK: Miałam kiedyś partnera, który był z innego „łagru”, bo pisał dla gazety *Sowiecka Białoruś*. Czasami piliśmy mocniejsze trunki, rozmawialiśmy, a ja zastanawiałam się, jak naprawdę mogę być z nim blisko. Pisaliśmy czasami o tych samych wydarzeniach, ale on według „prawdy państwowej”, chociaż prywatnie zgadzał się ze mną w wielu kwestiach. Podczas jednego ze spotkań powiedział, że ważniejsza jest narracja władz. Po tych słowach nigdy się z nim już nie widziałam. Także w jakimś stopniu jest to opowieść autobiograficzna.

MS: Pani nowa książka będzie wydana po polsku?

SK: Na razie nie mam takich planów, ale jestem bardzo dumna, że na Białorusi ukazało się już drugie wydanie, pierwsze zostało wykupione. Myślałam, że nikt nie będzie jej czytał, bo jako pisarska byłam bezwzględna dla własnego narodu, ale okazało się, że ludziom się podoba. Chciałam, by najpierw przeczytali ją Białorusini.

MR: Dziękujemy Państwu. Z niecierpliwością czekamy na *Zabawy fantomowe* Andreja Chadanowicza, które mają się wkrótce ukazać w tłumaczeniu Adama Pomorskiego. I mam nadzieję, że również doczekamy się tłumaczeń książek Swiatlany Kurs.

ACh: Dziękuję, chcę powiedzieć, że rozczuliła mnie białoruska flaga zamieszczona na facebookowej stronie Domu Literatury w Łodzi. To ważne gesty i wyrazy solidarności. My krzyczymy, a wy tu w Polsce nagłaśniacie.

proszę o tabletkę
od głowy

nie chcę mieć
głowy
obrzydło mi
jej noszenie

ona ma oczy
sączy się w nie trujący gaz
który wy nazywacie światłem
i nie gasicie podczas ciszy nocnej

nie chcę mieć
głowy

ona ma usta
które muszę zapychać
gumową śmierdzącą gliną
którą wy próbujecie imitować chleb

nie chcę mieć
głowy
ona ma uszy
w które wy warczycie
swoje „rc-za-plc”
„twrz-d-ścn”
„szbk”

proszę o tabletkę
jak to nie ma?

– nie ma bo zjedliśmy
wszystkie tabletki od głowy
sami

„tak że mrd-w-kbł”

sąd przez rozbity iphone funkcjonariusza
siadaj w tej komórce
patrz bateria siada
będziemy sędzić w trybie przyśpieszonym
nie trzeba się więc sprzeciwiać
to w twoim interesie
bo kiedy bateria siądzie
nie usłyszysz wyroku
nie dowiesz się jak długo
będziemy cię trzymać
będziesz leżeć
i rozmyślać ile jeszcze
musisz wąchać to gównno

mam teraz na myśli prawdziwe gównno
gównno na które się składa
gównno twojego współosadzonego z dolnej przycy
gównno twojego współosadzonego z górnej przycy naprzeciwno
twoje własne gównno
a ten który wprowadził się wczoraj
jeszcze nie srał ani razu
więc gównno w którym jesteśmy
nawet jeszcze nie jest pełne
to nic przywyknie nowicjusz
i będzie pełen bukiet

– zaczniemy
dlaczego wyszliście z domu?

– całą noc na podwórzu bili ludzi
całą noc na podwórzu bili ludzi

szczeakały psy
szczeakały psy

słyszeliście?

– uspokój się
zdawało ci się
zdawało ci się
nikogo nie bili
nikogo nie bili
bo nie usłyszałbyś
ciosów pałki po cieie

bezglōśnie uderza
pałka po cieie

Uładzimir Lankiewicz

SZEŚĆ WIERSZY Z JESIENI 2020 ROKU

SZEŚĆ WIERSZY Z JESIENI 2020 ROKU

32 lata temu
po raz pierwszy byłem na marszu
na tej trasie
dziady¹
wtedy w wózku dziecięcym
teraz – uciekałem i chowałem się
między budynkami
przeskoczyłem niefortunnie
ogrodzenie przedszkola
skręciłem nogę
dotarłem do ławki
obok biegają nadzieje
w ludzkich postaciach

niechby mnie ktoś wsadził
do wózka jak 32 lata temu
i wywiózł stąd

1 Chodzi o protest na Białorusi „Dziady. Marsz przeciw terrorowi” w 1988 roku
(przyp. tłum.).

– całą noc na podwórzu bili ludzi
całą noc na podwórzu bili ludzi

szczeakały psy
szczeakały psy

słyszeliście?

– uspokój się
zdawało ci się
zdawało ci się
nikogo nie bili
nikogo nie bili
bo nie usłyszałbyś
ciosów pałki po cieie

bezgłośnie uderza
pałka po cieie

sąd przez rozbity iphone funkcjonariusza
siadaj w tej komórce
patrz bateria siada
będziemy sędzić w trybie przyśpieszonym
nie trzeba się więc sprzeciwiać
to w twoim interesie
bo kiedy bateria siądzie
nie usłyszysz wyroku
nie dowiesz się jak długo
będziemy cię trzymać
będziesz leżeć
i rozmyślać ile jeszcze
musisz wąchać to gównno

mam teraz na myśli prawdziwe gównno
gównno na które się składa
gównno twojego współosadzonego z dolnej przycy
gównno twojego współosadzonego z górnej przycy naprzeciwno
twoje własne gównno
a ten który wprowadził się wczoraj
jeszcze nie srał ani razu
więc gównno w którym jesteśmy
nawet jeszcze nie jest pełne
to nic przywyknie nowicjusz
i będzie pełen bukiet

– zaczniemy
dlaczego wyszliście z domu?

proszę o tabletkę
od głowy

nie chcę mieć
głowy
obrzydło mi
jej noszenie

ona ma oczy
sączy się w nie trujący gaz
który wy nazywacie światłem
i nie gasicie podczas ciszy nocnej

nie chcę mieć
głowy

ona ma usta
które muszę zapychać
gumową śmierdzącą gliną
którą wy próbujecie imitować chleb

nie chcę mieć
głowy
ona ma uszy
w które wy warczycie
swoje „rc-za-plc”
„twrz-d-ścn”
„szbk”

proszę o tabletkę
jak to nie ma?

– nie ma bo zjedliśmy
wszystkie tabletki od głowy
sami

„tak że mrd-w-kbł”



fot. Marcin Bałczewski 

– kto dzwonił?

– jedenasta
kierowniku
daj zapalić co
a na spacer można
a ognia daj
jedenasta
a która godzina
a zapalić można
ja ostrożnie
na spacer puścisz
prysznic daj

kroki skrzypią na korytarzu
klucz zgrzyta w zamku
kiedy otwierają się drzwi
skok-sus na podłogę
cały kameralny oktet

zza krat spogląda
uczeń który pomylił się
i wszedł do nie swojej klasy:

– tak k***
u mnie kiedy jest winna jedna cela
cierpi cały areszt

pies na ulicy szczeka
„hau hau” – ryczy w szparę okna facet
a tak naprawdę na całą celę

– to rottweiler
siedziałem tu 7 lat temu
i on mieszkał na tym podwórzu
stary jak diabli
nie służy od dawna jest na emeryturze
ale widzisz nie uśpili
ja z nim rozmawiam
hau hau!

a ja rozumiem
że nie chodzi o litość
pod niebem aresztu
on odbywa dożywocie

moja garść dób
śmiechu warta
nawet tego tu
skowytu psiego
niewarta

Przełożyła Aneta Kamińska

Julia CimaŃiejewa

Kamień strachu

Boję się.
W końcu jestem w domu.

Dostałam w spadku
swój strach –
relikwię rodzinną,
kamień szlachetny,
który przekazuje się
z pokolenia na pokolenie.

Nasz okrągły rodowy otoczek,
ukradziony kiedyś
z pańskiego pola.

Kamień nie ma ust,
nie może ani krzyknąć,
ani nic powiedzieć.
To wieczny embrion
bez pamięci,
wszystko, co umie –
to nieśpiesznie i nieubłaganie
rosnąć.

Karmimy kamień po kolei
przez długą pępowinę rodu:
prababcie i pradziadkowie,
dziadkowie i babcie,
matka z ojcem,
a potem i ja dorosłam –
teraz moja kolej.

Zasady opieki są proste:

– najpierw nosisz
kamień na sercu,
on pije twoją krew i
wysysa życiodajne soki.
Kamień oduczy cię oddychania
pełną piersią;

– potem daj kamieniowi
podnieść się wyżej,
wygodnie ugrzęznąć w gardle
i cedzić twoje słowa.
Kamień oduczy cię
mówienia tego, co chcesz;

– i oto strach wychodzi na zewnątrz,
owija się kamienną pępowiną
wokół szyi, wiesz ci się na piersi,
twoja stała przeciwwaga.

– Ach, jaki piękny! To od babci?
– Tak.
– Niech go pani strzeże.
– Oczywiście.



fot. Marcin Bałczewski

Język to więzienie

Język to więzienie,
do którego nas wsadzono
za niechęć
i nieumiejętność
wchłaniania w siebie WSZYSTKIEGO.

Pragniemy granic i murów,
i drutu kolczastego wersów,
żebyśmy rzucając się na nie
w próbie ucieczki,
czuli się żywi.

Wpadamy w język jako dzieci
i nie pamiętamy innego życia
niż więzienne,
innego nieba
niż zakratowane,
innego jedzenia niż cienka zupa
pustych codziennych rozmów.

Nikt nas nie pytał,
czy chcemy się rodzić.
Nikt nas nie pytał,
czy chcemy mówić.

Pamięć trzyma nas tutaj
i jedyna droga stąd
to zapomnienie.
Ale poza granicami języka
jest samotność Kaina,
bo zapomnienie to zabójstwo.
Jeden z najstraszniejszych,
najbardziej niewyobrażalnych grzechów
to uciec z własnej woli
z niewoli Języka.



Uwolnić się –
zamilknąć –
poczuć,
jak unoszą się
potężne piersi Wszechświata.

I w jego naturalnym hałasie
nie znaleźć żadnego sensu.

Ziemia Królowej Maud

byłyśmy władczyniami
(mapy politycznej) świata

na szaroniebieskiej tapecie
świat był
wypukły i łaciaty
jak ogromny brzuch krowy
rozwieszony jako amulet
nad dziecięcym łóżkiem

to fioletowa Francja
to żółte Chiny
to różowy zajac Australii
to nasza uszata Ojczyzna
i wszędzie rozsypane
żwir oraz kurz wysp

dłońmi gładziłyśmy
kolorowy brzuch świata
od Meksyku do Filipin
trzymałyśmy go w spoconych objęciach
sylabizowałyśmy
jego bezsensowne czarujące nazwy
wyliczałyśmy
przelewałyśmy z ust do ust
wszystkie jego morza

i kiedy kręciło się w głowie
od jego niepojętości
od jego niedostępności
padałyśmy na poduszki
i oszołomione nakrywałyśmy się z głową
śmiechem
przed snem



ogłądałam
białą Antarktydę
Morze Bellingshausena
Ziemie Wilkesa
Ziemie Królowej Maud

jedyna kobieta
na zimnym bezgranicznym kontynencie
modna królowa
śniegu
pośród nieustannych zamieci
białych niedźwiedzi
i wiecznej kry

Maud Charlotte Mary Victoria
zdobyła wykształcenie
jak i jej siostry miała
słuch muzyczny i talent
do języków fenomenalną talię
46 centymetrów i została
pierwszą królową niepodległej Norwegii

jak wszystkie chciałam
zostać królową
odbyć
 podróż dookoła świata
i nadać swoje imię dalekiej ziemi
lub chociaż małej wysepce

Nigdy nie pytałam,
a czego chciałaś ty, siostrze?

Przełożyła Aneta Kamińska

SZTUKA BEZ POWROTU

Rozmowa z Jenią Vladimirową, białoruską artystką intermedialną mieszkającą w Polsce

Weronika Koszołko: Urodziłaś się w latach 90. w Mińsku. Jaka jest Twoje pierwsze skojarzenia ze słowem „dom”?

Evgeniya Vladimirova: Pierwsze skojarzenie to kuchnia. Siedzę w kuchni, piję herbatę, miga telewizor i rozmawiam z mamą. Słowo „dom” kojarzy mi się z czymś ciepłym i komfortowym i tak chcę to pamiętać.

WK: Zawsze chciałaś być artystką?

EV: [śmiech] Dobre pytanie. Będąc dzieckiem, moje marzenia miały duży rozmach. Chciałam zostać malarką, rysowniczką, aktorką, śpiewaczką, archeolożką – słowem gwiazdą [śmiech].

WK: Interesowały cię kierunki artystyczne.

EV: Może nie tyle artystyczne, co związane z przygodą, na przykład właśnie archeologia. Ale też fizyka, jej połączenia z kosmosem i ekologią, bo chciałam też być ekolożką. Wszystko można połączyć działalnością

artystyczną. Archeolożka wykopująca kości na głównym placu – i już jest performance.

WK: Co spowodowało, że zaczęłaś się interesować sztuką?

EV: Dziecięce zainteresowanie. Rysowałam żyrafy, króliczki, rodzinę, ale duży wpływ miała też na mnie moja siostra. Inspirowałam się jej rysunkami, które chyba były lepsze od moich. Później poszła do szkoły plastycznej, a ja w jej ślady. Siostra wybrała *design*, ja poszłam w sztukę.

WK: Jak to się stało, że znalazłaś się w szkole plastycznej w Lublinie?

EV: Moja babcia jest zaangażowana w sprawy polsko-białoruskie. Pomaga Białorusinom zdobyć wizę, pomaga Polakom utrzymać kontakt z ojczyzną przodków. Babcia znalazła jakąś listę liceów plastycznych za granicą. Moim celem był kiedyś Londyn, ale teraz już nie [śmiech]. Jednak wtedy pomyślałam, że pierwszym krokiem poza Białoruś będzie przyjazd do liceum w Polsce – szczególnie, że mam polskie korzenie. Wybrałam dwa licea plastyczne, w Lublinie i Supraślu. Ale już w Lublinie wiedziałam, że nie muszę jechać dalej... [śmiech].

WK: Jest twórca, który cię inspiruje od początku Twojej drogi artystycznej?

EV: Inspirowałam się nie tyle artystami-plastykami, a bardziej muzyką, która ukierunkowała moje działania. Słuchanie muzyki zamykało mnie w „bańce tworzenia”, w której osiągałam pełne skupienie. Gdybym miała jednak podać nazwiska, to byłiby to Marina Abramović i Józef Robakowski. Kiedyś inspirował mnie Kazimierz Malewicz, ale to już przeszłość. [śmiech]. Zrobiłam nawet pracę na temat moich rozważań o tym twórcy.

WK: Które ukazuje znane dzieło Malewicza *Czarny kwadrat na białym tle*, ale zmniejszone do wielkości jednego piksela.

EV: Praca powstała pod wpływem impulsu. Pomyślałam: *Jak Malewicz może twierdzić, że czarny kwadrat to koniec malarstwa i że nikt nic*

nowego już nie wymyśli. Z tego kwadratu można zrobić jeszcze tysiąc innych rzeczy! I właśnie to udowadniam tą pracą.

WK: Szczególnie budzącą emocje jest praca *Zakopana flaga*, która jest Twoją reakcją na antyreżimowe protesty na Białorusi. Jak zrodził się pomysł na ten utwór?

EV: Najpierw napisałam dosadny manifest przeciwko przemocy. Manifest oraz moje emocje i wrażenia posłużyły do wymyślenia performansu. To reakcja na kryzys polityczny na Białorusi. *Zakopana flaga* jest symbolem obrońców niezależności i wolności państwa oraz właśnie moim manifestem.

WK: Twoje prace są też głęboko osobiste, jak na przykład *Dystymia*.

EV: W moim życiu był okres, kiedy czułam się niezrozumiana przez wielu ludzi. Ogarniał mnie niepokój, że coś jest ze mną nie tak. Pomyślałam, mam taki charakter, utrudniający mi kontakt z ludźmi. Moja matka to potwierdzała, mówiąc, że będąc dzieckiem bywałam smutna i płaczliwa. Kiedy w końcu zdecydowałam się na wizytę u psychologa, dowiedziałam się, że cierpię na dystymię, określaną jako „łagodniejsza depresja”. Polega ona na ciągłym poczuciu smutku i zmęczenia, które bierze się za cechę swojego charakteru. Trochę mi ulżyło, bo w końcu zdefiniowałam to, co się ze mną dzieje i że nie jestem w tym sama. W pracy, o którą pytasz, chciałam pokazać, że osoba chora może wyglądać normalnie, ale wewnątrz zмага się z objawami swojej choroby.

WK: Jak wyglądałaby Twoja sztuka gdybyś została na Białorusi?

EV: Chyba by nie istniała. Nie chodzi tylko o sytuację polityczną, ale na Białorusi nie ma dużo instytucji *stricte* artystycznych, które umożliwiają artystom rozwój. Nie ma tylu pism o sztuce, galerii i w ogóle ludzi zajmujących się sztuką, co w Polsce. Utalentowani białoruscy artyści tworzą na rynek polski lub ukraiński, gdzie, w przeciwieństwie do środowiska białoruskiego, są rozpoznawalni.

WK: A gdybyś teraz miała wrócić do domu?

EV: Ale ja tam nie chcę wracać. Wolałabym, żeby moja matka odwiedziła mnie w Polsce, a i ona uważa, że powinnam zostać. Tylko mój ojciec chciałby, abym wróciła, chociaż on nie myśli o żadnych konsekwencjach.

WK: Ojciec był dziennikarzem, a wiemy co się dzieje na Białorusi z tymi, którzy piszą przeciwko prezydentowi Aleksandrowi Łukaszenko. Jaki ma do tego stosunek?

EV: Przed pierwszymi wyborami prezydenckimi na Białorusi w 1994 roku był bardzo aktywny. Wiaczasław Kiebicz – to on wymyślił, żeby Białoruś miała prezydenta i zaproponował wybory. Na stanowisko szykował się on i Aleksander Łukaszenko. Kiebicz trochę przypominał komunistycznych aparatczyków, od których Białorusini chcieli już odpocząć. Łukaszenko pozycjonował się inaczej. Ojciec w swoich artykułach ostrzegał: *Nie głosujcie na niego, on jest jeszcze gorszy*. Sposób wystawiania się Łukaszenki, debaty z jego udziałem... był po prostu chamem. Ojciec wiedział, że Łukaszenko to nic dobrego, ale chyba nie przewidział, jak bardzo.

WK: Nie lubisz porównywać sytuacji w Polsce i na Białorusi, ale chciałabym zapytać, czy uważasz, że w politycznym aspekcie idziemy w podobną stronę?

EV: Krytycznie odnoszę się do warunków polityczno-społecznych w Polsce. Zaskakuje mnie energia z jaką część Polaków potrafi walczyć o swoje prawa, wychodząc licznie, pomimo pandemii, na protesty. Podobna mi się, że Polacy potrafią walczyć o swoje idee. Sądzę też, że zmiana dokonuje się też poprzez aktywność lokalną, tak działałam na Białorusi. Tylko tam mogę za działalność społeczną i artystyczną dostać wyrok sądu i znaleźć się w więzieniu.

WK: Wracając w tym kontekście do Twojej twórczości – można powiedzieć, że uprawiasz sztukę zaangażowaną w to, co Cię otacza. Co jest dla Ciebie najważniejsze w sztuce?

EV: Najważniejsze dla mnie to obserwować i reagować na to, co się dzieje dookoła. Moja sztuka jest komentarzem, ale nie krytyką. Sztuka powinna wpływać na sposób myślenia odbiorcy, a nie kończyć się na pięknie namalowanym obrazie.

WK: A w której technice czujesz się najlepiej?

EV: Fotografia i wideo. Moje pomysły rodzą się w słowach, hasłach i szkicach, które notuję na papierze. Podstawą więc u mnie jest rysowanie i pisanie.

WK: Co obecnie znajduje się w zapiskach, jaki temat będziesz rozwijać?

EV: Chciałabym zrobić film w stylistyce *slow cinema* o zjawisku *kill joy*. Chodzi o sytuację, kiedy ktoś w towarzystwie opowiada o rzeczach pesymistycznych. Taka osoba jest postrzegana jako niepasująca do reszty. Pracuję też nad postawionym mi na uczelni zadaniem, którego hasłem jest „reforma”. Pomyślałam, że nie podoba mi się koncept trumny. Zużywa się drewno i zakopuje się w ziemi, a nieboszczyk nigdy swojej trumny nie zobaczy. Mój pomysł to działanie *zero waste*, czyli samodzielne skonstruowanie trumny z desek i kawałków drewna znalezionych na śmietniku.

WK: Szczegółowo planujesz przyszłe dzieło, ale czy w ten proces wkrada się czasami improwizacja i emocje?

EV: W Galerii Labirynt w Lublinie miałam przygodę podczas performansu z balonem, który miał pęknąć, ale nie pękł. Plan zawiódł, musiałam zgnieść go rękami, wpadając w autentyczną wściekłość. Ale dzięki temu performans był mocniejszy w wyrazie. Widzowie doświadczyli moich nieudawanych emocji.

WK: Jak widzisz swoją artystyczną przyszłość?

EV: Przykro mi, kiedy prace trafiają „do szuflady”, bo czuję, że powinny trafić do ludzi. Nie wiem czy mam plan, po prostu chcę, aby moja sztuka docierała do odbiorcy.



13:20 **kosmici_sa_wspod_nas**

kosmici_sa_wspod_nas **0**
Posty Obserwuj... Obserwuje

To konto dla ludzi świadomych procedur. Oni zyją! Są wśród nas! Udostępniamy tutaj zdjęcia oraz filmy potwierdzające obecność UFO w Polsce.

[Edytuj profil](#)

Wyróżnione relacje
Zachowaj ulubione relacje w profilu

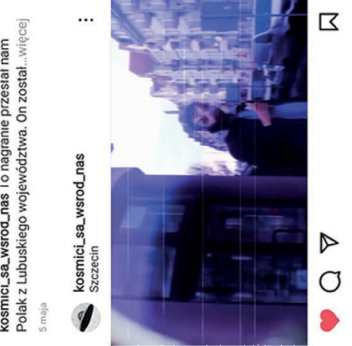
Nowe

13:18 **kosmici_sa_wspod_nas**

Posty

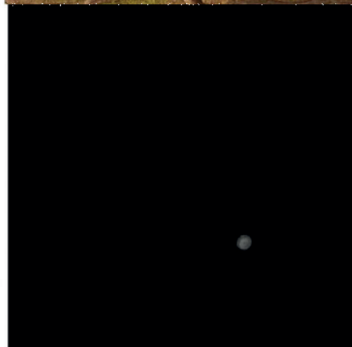
kosmici_sa_wspod_nas 1 o nagraniu przelaz nam Polak z Lubuskiego wojewodztwa. On zostal...więcej

5 maja **kosmici_sa_wspod_nas** **Szczecin**



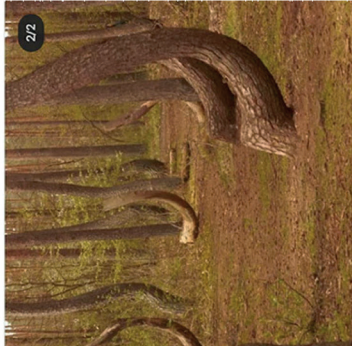
13:18 **kosmici_sa_wspod_nas**

kosmici_sa_wspod_nas **Wojewodztwo lubuskie**



13:19 **kosmici_sa_wspod_nas**

kosmici_sa_wspod_nas **Krzywy Las**



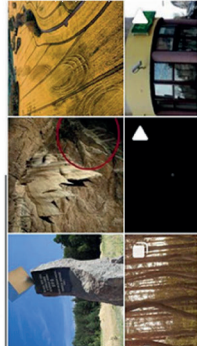
13:19 **kosmici_sa_wspod_nas**

Polubione przez: iriskindart i 14 innych

kosmici_sa_wspod_nas Krzywy las. Obszar ten został tak nazwany ze względu na rosące w tym miejscu ok. 100 zdeformowanych sosen zycyżajnych. Drzewa te są wygięte pod kątem ok. 90° od ok. 20 cm nad ziemią, a krzywizna u niektórych dochodzi do wysokości 3 m. Ich wysokość całkowita sięga ok. 11–12 m. Zostały zasadzone w latach 30. XX wieku (prawdopodobnie w 1934 roku).
Najbardziej znaną teorią jest, że drzewa zostały tak ukształtowane w wyniku celowej działalności ludzi, którzy uprawiali je specjalnie na tzw. krzywulce do celów stolarskich lub szlucerskich, takich jak budowa mebli, łodzi, sani itp. **UJEDNAKI** do naszego zespołu dochodzą informacje o tym, iż krzywizna tych drzew została spowodowana niezwykłą mocą pola magnetycznego okolic Nowego Czarnowa i Elektrowni Dolina Odra. Miernik pola magnetycznego Gausmierz wskazuje na to, że Krzywy las jest miejscem anormalnym. Radzimy wam dokładnie przejrzeć się temu niezwykłemu miejscu.

194 **wyświetlenia** · Polubione przez: **iriskindart**

kosmici_sa_wspod_nas Mamy to! Zabka sprzedaje hot-dogi kosmitami! Od lat wiemy, że zielony kolor franczyzy nie jest przypadkowy. Zieleni to kolor którego długość fali elektromagnetycznej wynosi od 487 do 570 nanometrów. Na tej fali nadawane są sygnały z poza Ziemi. Przy pomocy fal odbitych od fioletowych okularów osoba, która nagrala ten film, dokonała refrakcji kosmicznych komunikatów demaskując obecność obcych w Polsce. Ten film przesiała nam osoba która poprosiła o bycie anonimowym.



25 **wyświetlenia** · Polubione przez: **retoryka...**

kosmici_sa_wspod_nas To nagranie przelaz nam Polak z Lubuskiego wojewodztwa. On zostal świadkiem klasycznego kontaktu UFO z człowiekiem. Nagranie, jak twierdzi sam autor, było nagrane o 22:00. Obiekt latający nie wydawał żadnych dźwięków i poruszał się bardzo płynnie we wszystkie strony. Zależy nam o sprawę z jakości nagrania, ale wierzymy autorowi w autentyczność tego zdarzenia.

Polubione przez: **iriskindart i 14 innych**

kosmici_sa_wspod_nas Krzywy las. Obszar ten został tak nazwany ze względu na rosące w tym miejscu ok. 100 zdeformowanych sosen zycyżajnych. Drzewa te są wygięte pod kątem ok. 90° od ok. 20 cm nad ziemią, a krzywizna u niektórych dochodzi do wysokości 3 m. Ich wysokość całkowita sięga ok. 11–12 m. Zostały zasadzone w latach 30. XX wieku (prawdopodobnie w 1934 roku).
Najbardziej znaną teorią jest, że drzewa zostały tak ukształtowane w wyniku celowej działalności ludzi,

Kosmici są wśród nas
(Internet art/projekt fotograficzny)

Jest to konto instagramowe zainspirowane ufologią i teorią spiskową, która zakłada, że istoty pozaziemskie żyją wśród ludzi na Ziemi. Posty na koncie mają charakter humorystyczny, ale duża część obserwatorów wierzy w udośćpniiane sytuacji. Czynnikiem tego, że publikacje są często odbierane na poważnie są też skrupulatne opisy, zawierające w sobie dużo terminów naukowych.



The place i'm speaking from (Skąd jesteś?)
(kadr z filmu)

Etiuda o tym, jak to jest być imigrantką i ciągle
słyszeć pytania o swoim pochodzeniu.
Film jest częścią grupowej wideo instalacji pokazy-
wanej w Trafostacji Sztuki w Szczecinie podczas
wystawy „Now we're talking!”



Zakopana flaga
(kadr z dokumentacji performansu)

Performance dokamerowy Zakopana flaga pokazuje odczucia autorki związane z kryzysem politycznym w swoim ojczystym kraju – na Białorusi. Ludzie, mówiący prawdę o uzurpatorze, są bici i zamykani w więzieniu, w najlepszych wypadkach. Przerażająco dużo osób jednak jest zaginionych albo zabitych podczas codziennych manifestacji w całym kraju. Zakopana flaga ma być symbolem tych obrońców niezależności i wolności państwa, oraz jest głośnym manifestem przeciwko przemocy.





Irina Lappo

DRAMA I CHWAŁA TEATRU BIAŁORUSKIEGO: GENERACJA RU

W XXI wieku do białoruskiej literatury weszło całe pokolenie młodych zdolnych dramatopisarzy rosyjskojęzycznych: Paweł Priażko, Maksim Doško, Konstantin Stieszyk, Nikołaj Rudkowski, Siergiej Girgiel, Dmitrij Bogosławski, Andriej Iwanow, Paweł Rassolko, Witalij Korolew, Alona Iwanuszenko, Jekatierina Czekatowskaja, Aleksey Makejczyk, Olga Prusak i inni. Wszyscy pochodzą z Białorusi i uważają się za Białorusinów, większość mieszka na Białorusi oraz, podobnie jak większość ich rodaków, mówi, myśli i pisze po rosyjsku.

Fenomenalne sukcesy białoruskich autorów w rosyjskim teatrze (regularne zwycięstwa, wyróżnienia i nagrody w konkursach dramaturgicznych, publikacje w prestiżowych rosyjskich wydawnictwach i czasopismach branżowych, liczne inscenizacje zarówno na stołecznych, jak i prowincjonalnych scenach) zaczynają być zauważane również na Zachodzie (powstają przekłady, organizowane są czytania performatywne czy wystawiane spektakle). Dzięki „zagranicznej sławie” dramaturgia ta trafia wreszcie na sceny białoruskie (zdarza się, że nawet w przekładzie na język białoruski). Można z pewnością mówić o fenomenie współczesnej dramaturgii białoruskiej w postradzieckiej przestrzeni teatralnej, jednak fakt, że wszyscy wspomniani autorzy, a także dziesiątki tu nie

wymienionych, piszą swoje sztuki w języku rosyjskim, rodzi zasadne pytanie: czy są to dramatopisarze białoruscy, czy raczej autorzy rosyjscy mieszkający na Białorusi? Jedni badacze są skłonni rozpatrywać ich twórczość w ramach literatury białoruskiej, podczas gdy inni kategoricznie dystansują się od analizy utworów rosyjskojęzycznych autorów białoruskich.

Wielojęzyczność jest jedną z ważniejszych cech wielowiekowego rozwoju literatury i teatru na Białorusi, gdzie twórcy od zawsze korzystali nie tylko ze swojego języka narodowego, lecz sięgali także po języki cerkiewnosłowiański, staroruski, łaciński, polski, rosyjski czy jidysz. Polilingwizm był na przestrzeni stuleci cechą charakterystyczną literatury białoruskiej, podobnie jak literatury litewskiej czy ukraińskiej. Dopiero po represjach stalinowskich lat trzydziestych ubiegłego wieku, które przyniosły niepowetowane straty wszystkim kulturom narodowym Białorusi, oraz w wyniku eksterminacji ludności żydowskiej podczas Holocaustu, tradycja wielojęzyczności w literaturze białoruskiej faktycznie zanika, zostaje bowiem sprowadzona do białorusko-rosyjskiego duopolu.

Obecnie na Białorusi język rosyjski jest oficjalnie jednym z dwóch równorzędnych języków państwowych (a w rzeczywistości jest głównym językiem państwowym), a także podstawowym językiem komunikacji, co przekłada się na aktywny rozwój rosyjskojęzycznej literatury. To paradoks, w którym tkwi współczesna dramaturgia białoruska. Najbardziej zbiałorutenizowany rodzaj literacki to poezja, proza od jakiegoś czasu idzie w jej ślady, natomiast dramaturgia zrusyfikowała się niemal całkowicie. Wybór języka podyktowany jest tu względami praktycznymi: rosyjski w dzisiejszej sytuacji teatralnej na Białorusi daje autorowi większe możliwości. Tym niemniej zasadne jest uznanie rosyjskojęzycznej dramaturgii za integralną część literatury białoruskiej. Białoruskojęzyczne i rosyjskojęzyczne nurty literackie wzajemnie się uzupełniają. Przedstawiciele pierwszego zachowują i twórczo rozwijają tradycje narodowe, zaś przedstawiciele drugiego, skutecznie korzystając z doświadczeń szkoły rosyjskiej, odzwierciedlają zmiany zachodzące we współczesnym świecie.

W monografii *Generacja RU w dramaturgii białoruskiej: kontekst – tendencje – osobowości* wraz ze współautorami Siergiejem Kowalewym

i Natalią Rusiecką przyjrzelśmy się fenomenowi białoruskiej dramaturgii XXI wieku, analizując tradycje polilingwizmu i heterogeniczności, badając wyjątkowe miejsce, jakie współczesna dramaturgia rosyjskojęzyczna zajmuje w białoruskim życiu teatralnym, a także podstawowe tendencje i perspektywy rozwoju współczesnego dramatu białoruskiego, proces przekształcania się twórczości dramatopisarzy z Białorusi w towar eksportowy oraz szczegółowo rozpatrując twórczość czterech czołowych przedstawicieli generacji RU: Pawła Priażki, Nikołaja Rudkowskiego, Dmitrija Bogosławskiego i Andrieja Iwanowa.

Zdecydowaliśmy się na szersze przedstawienie sylwetek właśnie tych czterech dramatopisarzy, ponieważ w obrębie jednej generacji reprezentują przeciwstawne bieguny tradycji i awangardy. Kusiło nas zderzenie tradycyjnych pod względem formalnym dramatów Dmitrija Bogosławskiego i Andrieja Iwanowa z postdramatycznymi tekstami Pawła Priażki i teatrem absurdu Nikołaja Rudkowskiego.

Formacja współczesnych rosyjskojęzycznych dramatopisarzy białoruskich – nazwana w tytule naszej książki generacją RU, stopniowo zmienia oblicze teatru białoruskiego, jednocześnie zmieniając się sama. Przedstawiciele tego pokolenia – a jest ich znacznie więcej niż wymieniamy w książce – w żadnym wypadku nie tworzą szkoły lub kierunku. Przeciwnie, każdy z nich jest unikatową osobowością twórczą, każdy ma swoje korzenie, preferencje, styl i doświadczenie.

Wprowadzając określenie „generacja RU” próbowaliśmy odpowiedzieć na szereg pytań. Czy pod maską rosyjskojęzycznego dramatopisarza chowa się twarz Białorusina? Czy wybór języka rosyjskiego jako języka twórczej samorealizacji jest rzeczywiście dobrowolny? Czy w sytuacji, gdy teatry na Białorusi praktycznie nie wystawiają spektakli w języku białoruskim, można mówić o braku wyboru? Jakie relacje zachodzą między względami marketingowymi a wartościami artystycznymi? Czy eksperymenty formalne Pawła Priażki są wynikiem wolności, którą daje tworzenie może nie w obcym, ale też nie swoim języku? Czy swoistość dramatów Bogosławskiego jest związana z białoruską mentalnością i podszyta pogańskim rytuałem „dziadów”? Czy trasionka (dosł. mieszanka słomy i siana), czyli białorusko-rosyjska mieszanka językowa, którą inkrustowane są sztuki Maksyma Doški, Konstantina Stieszyka, Pawła Priażki, Andrieja Iwanowa, to tylko modny chwyt artystyczny, czy tęsknota za białoruskością?

Dramaturgia Pawła Priażki, który z niezwykłą konsekwencją stosuje hipernaturalizm, jest wyjątkowym laboratorium nowego teatru. Jego teksty – dziwne, trudne w odbiorze, całkowicie wolne od tradycyjnych pokus dobrze skrojonych sztuk – posiadają szczególny potencjał performatywności. Droga dramaturga od hipernaturalistycznej estetyki rosyjskiego „nowego dramatu”, poprzez niemoc teatru zwijającego się dyskursu, po pseudodokumentalne teksty nasycone białoruskimi realiami i toponimiką, jest szczególnie interesująca z jednej strony ze względu na jej integralność, a z drugiej – na wyraźnie widoczne okresy ewolucyjne. Priażko poszukuje nowych form, eksperymentuje ze środkami wyrazu, poetyką i estetyką, ale pozostaje wierny sobie i swojemu programowi uważnego obserwatora pieczołowicie i uczciwie utrwalającego rzeczywistość. Nie przypadkiem mówi się o „fenomenie teatru Pawła Priażki”. Odbierany jako nowator, burzyciel praw rządzących dramatem, Priażko zaczynał od tekstów hipernaturalistycznych, pisanych metodą teatru dokumentalnego, do czego wprost przyznaje się w sztuce-monologu *Właściciel kawiarni*, będącej swego rodzaju manifestem twórczym: „Do niedawna byłem przekonany, że nie wolno pisać z głowy, że to realnie jest nieciekawe”. Poszukiwania nowych form wypowiedzi doprowadziły do powstania *Żołnierza*, sztuki składającej się z dwóch zdań didaskaliów. „Żołnierz dostał przepustkę. Kiedy trzeba było wracać do wojska, nie wrócił”. Następny jego dramat pt. *Jestem wolny* składa się z 535 zdjęć opatrzonych trzynastoma podpisami. Teatr Pawła Priażki odbierany jest jako teatr ekstremalnie nowoczesny. Niemal każdy nowy tekst wywołuje dyskusje o granicach teatru i... dobrego smaku. Doceniana przez krytyków i reżyserów twórczość Priażki adresowana jest raczej do publiczności elitarnej, przygotowanej do obcowania ze sztuką współczesną, z trudem natomiast zyskuje akceptację tzw. szerszego odbiorcy.

Nikołaj Rudkowski odważnie łączy w swojej twórczości realistyczną tradycję rosyjskiego teatru psychologicznego z zachodnim teatrem absurdu. Dramaturg wprowadza na scenę całą serię postaci będących przedstawicielami swojego pokolenia. Autor uważnie studiuje zmagania współczesnych ludzi szukających szczęścia, miłości, domu, czy próbujących pozbyć się historycznych traum, zastanawiających się nad kondycją i doświadczeniem swojego narodu. Na przykład dramat *Dożyty do premiery* opowiada o tym, jak młode aktorki, przygotowując spektakl o II wojnie światowej, dla lepszego wczucia się w rolę, próbują rekonstruować

doświadczenia granych przez siebie postaci – głód, biedę, lęk, tortury, ból – w swoim codziennym życiu. Świat artystyczny dzieł Rudkowskiego zazwyczaj jest wyrazem sprzeciwu wobec ogólnie przyjętych oraz utrwalonych norm i sądów. Autor dąży do zniszczenia mitów i stereotypów, pokazuje ich absurdalność w konfrontacji z nowoczesnością. Sztuki Rudkowskiego harmonijnie łączą realizm z elementami absurdu, pisarz odważnie wykracza poza ustalone ramy genologiczne, tworząc szeroką gamę gatunków autorskich jak np. nowoczesna tragedia, wiosenny nonsens w trzech aktach, dramatyczna sesja zdjęciowa, *reality show*, niechronologiczna komedia, frywolny *comedy lot*.

Dmitrij Bogosławski jest człowiekiem teatru doskonale znającym prawa sceny. Jego tradycyjne formalnie sztuki wyróżnia harmonijne współlistnienie codziennego i metafizycznego planu oraz bogata partytura teatralna pełna kontekstów, podtekstów, pauz i ciszy wymagającej wypełnienia. Temat oderwania od korzeni i powrotu do domu jest jednym z ważniejszych w jego twórczości, zaś próba odpowiedzi na pytanie, czym są korzenie, jeśli nie przodkami spoczywającymi w ziemi ojczyстей, wymusza na jego bohaterach wejście w relacje ze światem duchów i wprowadza w rytualny krąg „dziadów”. W *Miłości ludzi* główna bohaterka zabija bijącego ją męża-alkoholika, ukrywa ciało i zwierza się z popełnionej zbrodni milicjantowi, który kocha się w niej od czasów szkolnych, więc przyryka oko na tę zbrodnię i żeni się z mężobójczynią. Duch umarłego nie zostawia jej jednak w spokoju. Kobieta żyje z dwoma mężczyznami: realnym i nierealnym. Nowy mąż nie może się z tym pogodzić, próbuje udusić znienawidzoną już ukochaną, ostatecznie jednak sam popełnia samobójstwo. W *Cichym szmerze oddalających się kroków* główny bohater toczy niekończącą się rozmowę z umarłym ojcem, który łagodnie przygotowuje go do przejścia na drugą stronę.

Ukazując w swojej twórczości dramatisarskiej i reżyserskiej świat duchów istniejący obok świata żyjących, Bogosławski konsekwentnie realizuje na gruncie współczesnego teatru i dramatu swoisty – mocno osadzony w tradycji i mentalności białoruskiej – projekt „dziady”. Bohaterowie jego sztuk z łatwością przekraczają granicę oddzielającą świat ludzi od świata duchów, wkraczają do rytualnego kręgu starożytnego pogańskiego rytuału.

Ważnym doświadczeniem teatralnym dla Bogosławskiego było zaproszenie go w charakterze dramaturga do projektu pt. *Mabyć* (biał.

chyba) zainicjowanego przez Aleksandra Marczenko oraz ekipę Republikańskiego Teatru Dramaturgii Białoruskiej, jednego z nielicznych białoruskojęzycznych teatrów w kraju¹. Teatralne dochodzenie (tak określają gatunek twórcy) zostało przeprowadzone przy pomocy techniki *verbatim*. W spektaklu równolegle brzmią trzy języki: białoruski, rosyjski i trasianka². Odpowiedzi na pytanie „Kim jest Białorusin?” aktorzy teatru poszukiwali w różnych regionach kraju. Respondenci, których głosy ostatecznie weszły do spektaklu, to biznesmeni, kibice, cudzoziemcy, przedstawiciele białoruskojęzycznej twórczej inteligencji, rolnicy i kobiety. Krytycznej refleksji poddano rozpowszechnione opinie o tolerancji, skromności, pracowitości i słynnej białoruskiej wytrwałości. Po obróbce surowego materiału przez Bogosławskiego powstał zbiorowy portret współczesnego Białorusina.

Istotna cecha dramaturgii Andrieja Iwanowa to jej semantyczna wielowarstwowość, której konsekwencją jest potencjalna otwartość na różne, niekiedy bardzo kontrastowe, interpretacje artystyczne. Reagując na palące problemy społeczne, dramatopisarz bada uniwersalne archetypy starożytne (kompleks Edypa, syndrom Medei itp.) na tle współczesnej rzeczywistości. *Kruk z Tower* (w oryg. *Eto wsio ona*) to kameralny dramat na dwie osoby: matkę i syna, który większą część swojego czasu spędza przed komputerem. Matka zakłada na portalu społecznościowym fałszywe konto, podszywa się pod rówieśniczkę syna i nawiązuje z nim kontakt – prawdziwy, ciepły, głęboki. Problem tkwi jednak w tym, że jest on oparty na kłamstwie. W ostatniej scenie syn, dowiedziawszy się wcześniej prawdy, otwiera okno i staje na parapecie. Drugi dramat

-
- 1 Tylko cztery z 28 państwowych teatrów programowo pracują wyłącznie w języku białoruskim, wszystkie znajdują się w Mińsku. Pozostałe „mogą, ale nie muszą”, więc ze względu na przyzwyczajenia publiczności preferują język rosyjski.
 - 2 W jednym z epizodów na scenę spada obuwie, aktorzy po kolei zakładają odpowiednie buty lub pantofle – dosłownie wchodzi w cudze buty – i opowiadają historię swojej postaci. Aby zobrazować problem dwujęzyczności, jeden z aktorów podczas monologu cały czas zmienia buty, mówiąc po rosyjsku w jednej parze, po białorusku – w innej. Ostatecznie pozostał w dwóch różnych butach.

Andrieja Iwanowa *S ucziliszcza* to kolejna wariacja na temat miłości tragicznej. Zakochana w swoim wykładowcy Tatiana podporządkowuje go swojej woli, zaś ten, by uwolnić się od psychologicznej przemocy, manipuluje jej byłym narzeczonym, który w końcu zabija bohaterkę. Sięgając po dramaty Iwanowa, każdy reżyser zgodnie z własnymi preferencjami artystycznymi, specyfiką przestrzeni teatralnej i przygotowaniem publiczności decyduje, jakie znaczenia zamierza uwypuklić w oparciu o materiał dramatyczny i w jakiej konwencji teatralnej będzie realizował przedstawienie. Opierając się na estetyce „nowego dramatu” (przemoc, obsceniczna leksyka itp.), Andriej Iwanow twórczo kontynuuje najlepsze tradycje teatru psychologicznego, starannie budując złożone charaktery postaci, które przyciągają aktorów możliwością tworzenia żywych obrazów scenicznych.

Miejsce akcji dramatów pisanych po 2013 roku często przenosi się na Białoruś. Dramatopisarze nasycają swoje teksty lokalną onomastyką, odwołują się do istotnych wydarzeń z historii kraju. Postacie są otoczone białoruskimi realiami i coraz częściej zastanawiają się nad pojęciem ojczyzny, jednak zazwyczaj patriotyzm jest dla nich przedmiotem badań, nie dumy. Geografia okazuje się ważniejsza od języka i kultury, co w gruncie rzeczy – zważając na topos „tutejszości” – jest charakterystyczne dla mentalności białoruskiej. Pierwsze kroki w kierunku „biarutenizacji miejsca akcji” poczynił Paweł Priażko w paradokumentalnym dramacie *Trzy dni w piekle* (2013). Podążył za nim Maksym Doško, wyraźnie zafascynowany filmowym gatunkiem *documentary* i starannie utrwalający realia otaczającej go rzeczywistości (*London, Onyx*). Jednocześnie cały szereg dramatopisarzy: Andrej Sauczenka, Sergej Ancelewicz, Dmitry Bogosławski i Wiktor Krasowski oraz reżyserzy Dmitry Fiodarau, Aleksandr Marczenko – zaczyna realizować oparte o technikę *verbatim* teatralne projekty dokumentalne poświęcone problemom identyfikacji, narodowej tożsamości, utraty i odzyskania języka, białoruskich mitów i stereotypów.

Dramatopisarzy generacji RU łączy czas i miejsce zamieszkania, pochodzenie oraz pewna wspólna percepcja świata. To pokolenie kształtuje się z jednej strony w ramach tradycji polilingwizmu i heterogeniczności białoruskiej kultury, z drugiej zaś – w opartej na wartościach sowieckich epoce Łukaszenki z uprzywilejowaną pozycją języka rosyjskiego nie

tylko jako języka państwowego, ale także jako języka „komunikacji międzynarodowej”, z trzeciej zaś strony – pod wpływem estetyki „nowego dramatu” i teatru postdramatycznego. Właśnie te czynniki determinują poszczególne cechy generacji RU i decydują o międzynarodowym sukcesie nowej białoruskiej dramaturgii.

Książka *Generacja RU w dramaturgii białoruskiej: kontekst – tendencje – osobowości* powstała w pandemicznym roku akademickim 2019/20, rękopis trafił do wydawnictwa na początku lipca, czyli tuż przed tragicznymi wydarzeniami sierpnia 2020 roku i trwającymi prawie pół roku protestami. Jednak w kontekście wydarzeń sierpniowych – po kolejnym zfałszowaniu wyborów, masowych demonstracjach, brutalnym stłumieniu pokojowych protestów, torturach i pobiciach w więzieniu na ulicy Okriestsina – wiele analizowanych w książce tekstów ukazało je w nowym świetle. Białorusini pokazali światu niesamowity zapał i wytrwałość. Pokolenie RU aktywnie wspierało swój protestujący naród. Powstały nowe przejmujące dramaty (*Wstążki* Priażko, *Katapult* Bogosławskiego, *Pół roku* Kowal). Generacja RU nadal pisze po rosyjsku, ale jest jak najbardziej BY, jak cały rosyjskojęzyczny kraj, który w sierpniu odkrył dla siebie piękno biało-czerwono-białej historycznej flagi białoruskiej. Bez względu na to, jak ta historia się skończy, Białoruś nie będzie już taka, jaką widywaliśmy w sztukach rosyjskojęzycznych białoruskich dramaturgów z pierwszych dwudziestu lat XXI wieku, którzy rejestrowali epokę Łukaszenki w okresie jej powstawania, stagnacji i schyłku.

S. Kowalow, I. Lappo, N. Rusiecka, *Generacja RU w dramaturgii białoruskiej: kontekst – tendencje – osobowości*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2020.

Hanna Komar

Plac Niepodległości

skradliście mój głos
oddajcie mój głos!
będę tu przychodziła codziennie
póki nie usłyszę go znowu
echo moich kroków
roztrzaska wasze
mury z betonu
żał w moich oczach
stłucze szyby
waszych pustych okien

W naszej celi

na czterech
wszystko wspólne:
ciekła biel
lepka ochra światła
skrzypienie łóżka
zimno, zwinięte jak obwarzanek
słońce za gęstym szkłem
świeże powietrze przez szparę w oknie
łomot pędzących pociągów
trzaskanie drzwi
pukanie zza ściany
ciepła woda w prysznicu
dezodorant
gazeta z krzyżówkami
głos, który czyta książkę
zagęszczony czas
prośby
przekleństwa
koszmary
oczekiwanie
i jedno na wszystkich
„Kiedy wyjdę na wolność...”

Z języka białoruskiego przełożyła Natalia Rusiecka.

Tańciana Skarynkina

BOGOWIE PATRZĄ Z CIEKAWOŚCIĄ

Bogowie patrzą
z ciekawością
patrzy Budda patrzy Jezus
patrzy Kryszna patrzy Ra
jak mój kraj
wije się w skurczach
wyrastając
ze skóry starej
skóra do krwi
się obdziera
łapie się po drodze
wszystkiego
kłamie że wszystko
jak było
zostanie
próżne starania.

Z języka rosyjskiego przełożyła Natalia Rusiecka.

Inessa Gankina

Miasto, w którym przyszedłeś na świat,
zajęte przez orków,
biją pałkami,
czają się w bramach.

Miasta, w którym przyszedłeś na świat,
bronią wózki dziecięce,
kobiety w bieli,
twoi uczniowie.

Miasto, w którym przyszedłeś na świat,
jeszcze ufa miłości
i nie chce krwi.

Miasto, w którym przyszedłeś na świat,
płacze po nocach,
skręca się w bólach porodowych –
życie nie będzie już takie samo.

Szkoła otwiera drzwi na oścież,
kreda stuka po tablicy,
nauczyciel odchodzi ze spuszczoną głową
do ciemnej bramy klęski.

Z języka rosyjskiego przełożyła Natalia Rusiecka.

Viera Żybul

Przywidziało się.
Ciemność, całkowita ciemność nie do pokonania.
Wyciągasz dłoń, żeby sprawdzić,
czy się na coś nie natkniesz,
i wyczuwasz ręce, ręce,
i ktoś ściska twoją dłoń.

Z języka białoruskiego przełożyła Natalia Rusiecka.

Aksana Sprynczan

na balkon biały
wychodzisz
w czerwonej koszuli
pokazujesz rękami serce
patrząc w górę
rozumiejąc
że miłość moja
stała się miłością
do Ojczyzny

Z języka białoruskiego przełożyła Natalia Rusiecka.

Sabina Brilo

poczucie humoru nas wyręczało
ratowało
przed głodem
niepewnością
wrażeniem że nie ma już
ani
poczucia zagrożenia
ani
poczucia wspólnoty
nie ma
żadnego współczucia
jest poczucie humoru
do
całkowitej
nieczułości

- Mamo, kim są ci wszyscy ludzie,
którzy nie życzą nam źle?
- To są, córeczko, ludzie,
którzy potrafią żyć.
- Czemu oni potrafią,
a my nie?
- Nie wiedzieliby, że potrafią,
gdyby nie było nas.
- A może to akurat my
żyjemy jak trzeba, nie oni.
- Cicho, córeczko, ich jest wiele.
Oni nie życzą nam źle.

Z języka rosyjskiego przełożyła Natalia Rusiecka.

Olga Markitantowa

Nauczyłam się jeść, odczyłam się spać,
od dawna już nie pamiętam, kiedy zdążyłam zapomnieć.
Zmęczenie przygniotło jak wyrwana sosna,
bezsenne drzwi dłubie delikatny ptasi łąb.
Ktoś we mnie się cieszy –
chcę poznać tego człowieka.

Z języka rosyjskiego przełożyła Natalia Rusiecka.

Andrzej Strąk

ANDREJ KUCIŁA. BIAŁORUSKI DOKUMENTALISTA

Nieopodal Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi, przy placu Zwycięstwa 2d, ma swoją siedzibę Studio Filmowe EVEREST. Pod tym samym adresem zarejestrowane są również trzy dynamicznie działające fundacje filmowe: Docedu Foundation, Fundacja Edukacji Dokumentalnej oraz Fundacja Dokument i Świat. Wszystkie wymienione instytucje łączy osoba Mirosława Dębińskiego, świetnego dokumentalisty, autora wielokrotnie nagradzanej *Lekcji białoruskiego*, a także profesora łódzkiej filmówki. Jego koledzy, wybitni polscy dokumentaliści, m.in. Marcel i Paweł Łozińscy, Jacek Bławut, Jacek Petrycki, Maciej Drygas, Vita Zelakeviciute, Wojciech Staroń, Maria Zmarz-Koczanowicz, Jolanta Dylewska, od 2011 roku przekazują swoją wiedzę i wrażliwość młodym adeptom sztuki filmowej z całego świata, realizując wciąż nowe programy oraz warsztaty filmu dokumentalnego dostosowane do zmieniających się potrzeb ich odbiorców. Dotąd były to: *Świat od świtu do zmierzchu* (2012–2016), *Młodzi o młodych* (2014), *Młodzi o Ukrainie* (2016), *Młoda Europa* (2017), *Young Europe. Work in Progress* (2018–2020), a także warsztaty on-line pt. *Mój świat w czasach zarazy*.

Beneficjentami wymienionych wyżej inicjatyw są często młodzi twórcy filmu dokumentalnego pochodzący z naszej obecnie „gorącej”

granicy – z Białorusią. Nasi wschodni sąsiedzi często przyjeżdżają do Polski w ramach programów stypendialnych, stażów na uczelniach filmowych czy współpracy z telewizją Bielsat. Zdarza się, że zostają tutaj na stałe, by uzyskać lepsze warunki do rozwoju własnej twórczości.

W przeciwieństwie do patetycznego, podlanego propagandowym sosem, batalistyczno-historycznego, białoruskiego filmu fabularnego oraz sztampowego na ogół kina tzw. gatunkowego, współczesny białoruski film dokumentalny rozwija się nieporównanie lepiej. Wspomniany wyżej Jacek Bławut, od lat obserwujący i kształcący przedstawicieli młodego kina białoruskiego, w wywiadzie udzielonym Piotrowi Czerkawskiemu dla Bielsatu o twórczości Białorusinów mówi: „Podoba mi się, że białoruskie dokumenty, z którymi miałem do czynienia, nie mają nic wspólnego z siermiężnym, reportażowym kinem ograniczającym się do opisu zastanej rzeczywistości. Twórcy czują, że kino dokumentalne jest sztuką przez duże S, bardzo dbają o kwestię formy, mają w sobie zamiłowanie do eksperymentu artystycznego”.

Jednym z najciekawszych białoruskich dokumentalistów jest urodzony w 1983 roku w Baranowiczach na Białorusi Andrej Kuciła. W 2007 roku ukończył dziennikarstwo na Białoruskim Państwowym Uniwersytecie, a w roku 2009 Białoruską Akademię Sztuk Pięknych. Na uczelni przewodniczył studenckim studium telewizyjnym i to właśnie tam zaczął kręcić swoje pierwsze filmy dokumentalne. Był uczestnikiem wielu międzynarodowych programów edukacyjno-filmowych, między innymi *IDFAcademy* (Amsterdam), *Berlinale Talents* (Berlin) oraz wspomniane już *Młodzi o młodych* i *Mój świat w czasach zarazy* (Polska), a także stypendystą Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu stypendialnego *Gaude Polonia*.

Na bogaty i różnorodny tematycznie dorobek Kuciły składają się filmy, wśród których widz znajdzie takie obrazy jak *Focal distance* (2008), *Kill the Day* (2010), *Fight For* (2011), *Enough! To Freedom...* (2012), *Miłość na Białorusi* (2014), *Goście* (2015), *Passing BY* (2016), *King of the Hill* (2017), *Summa* (2018), *Striptiz i wojna* (2019), *Gdy kwiaty nie milczą* (2020), *Uścisków twoich mi potrzeba* (2020), czy *Mury* (2021). Wymienione filmy zdobyły nagrody na wielu międzynarodowych festiwalach odbywających się na Białorusi, Słowacji, Ukrainie, w Niemczech, Chorwacji, Rosji, Holandii oraz Polsce. Jurorzy, krytycy i widzowie podziwiają

Kuciłę za „umiejętność wyrażenia niewyraźnego”, chwałą artystę za „sposób przedstawienia głębokiej relacji bohaterów”, dostrzegają „piękne kadry ożywiające [opowiadaną] historię”, odczuwają „bijące z obrazu ciepło” i „tajemnicę porywającą widza”. Jednocześnie w filmach społecznych – towarzyszących bieżącej polityce – podkreślić należy żarliwość autora, jego odważną postawę obywatelską, rentgenowską fotografię choroby trawiającej Białoruś oraz wnikliwą analizę otaczającej go rzeczywistości. Ale przecież „jeszcze będzie normalnie”. Kuciła zdaje się wierzyć w magię tych słów, nadając taki tytuł jednemu ze swoich najnowszych filmów. Ten, ale również i pozostałe, warto zobaczyć.

Gazeta to jednak nie kino. Zakończmy zatem przytoczeniem krótkiego szkicu scenariusza, napisanego w ramach międzynarodowego programu *Młodzi dla młodych*. To na podstawie tego tekstu kilka lat później, w 2018 roku, Kuciła wyreżyserował film *Striptiz i wojna* (*Strip and war*), za który otrzymał kilka znaczących nagród, m.in. Nagrodę Specjalną Jury na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym „Listopad” w Mińsku (2019), nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmu Dokumentalnego „Flahertian” w Permie (2020), czy Nagrodę Publiczności na Festiwalu Filmowym Off Cinema w Poznaniu (2020).

Andrzej Kuciła

STRIPTIZ I WOJNA

W ciągu dnia Anatol jest zwyczajnym projektantem, w nocy natomiast tancerzem go-go. Mieszka w oddalonym o 10 km od Mińska wojskowym miasteczku razem ze swoim dziadkiem – podpułkownikiem rezerwy, który pełni funkcję przewodniczącego obwodowej organizacji weteranów. Życie dziadka jest przesiąknięte sowiecką przeszłością. Na ścianie nad jego biurkiem wisi obraz *Lenin w pracy*. Naprzeciwko stoi komputer Anatola, za pomocą którego chłopak projektuje systemy przeciwpożarowe. Ta praca jednak ani nie sprawia mu przyjemności, ani nie jest źródłem znaczącego przychodu. Dlatego Anatol pieczołowicie rzeźbi swoje ciało na siłowni, nadaje cerze przyjemny ciemny kolor w solarium i wylewając siódme poty ćwiczy taniec. Staremu wojskowemu nie

podobają się fascynacje Anatola. Czasem próbuje namówić wnuka, aby wrócił do biura i pracy w swojej specjalności, lecz Anatol wierzy w obraną przez siebie drogę i zbywa uwagi dziadka. Podoba mu się szybki rytm życia, nocna praca, scena i wesoła publiczność w klubach. Po powrocie nad ranem z pracy Anatol od razu zasypia. O tej samej porze budzi się dziadek, je śniadanie i wyrusza załatwiać sprawy swojej organizacji. Wydaje się, że żyją na jednym terytorium, ale w różnych światach: wnuk we współczesnej Białorusi z jej konsumpcyjnym społeczeństwem, dziadek zaś w sowieckim, socjalistycznym państwie. Dwa światy mężczyzn niekiedy się krzyżują. Anatol pomaga dziadkowi w sadzeniu ziemniaków czy pieleniu ogórków. W czasie pracy w ogrodzie, kiedy wojskowy mundur z medalami wisi w szafie, a kostium tancerza go-go suszy się na balkonie, rozmawiają o rodzinie i dyskutują o codziennych problemach. I wtedy trudno odróżnić, który z nich jest częścią jakiego świata.

Magdalena Roguś

RE-ANIMACJA BIAŁORUSKIEJ ANIMACJI – POLIFONICZNA OPowieść WOKÓŁ TOŻSAMOŚCI NIEZALEŻNEGO, ZAANGAŻOWANEGO KINA ANIMOWANEGO NA EMIGRACJI

*Hegemonia to panowanie środkami czysto kulturalnymi
nad życiem duchowym całego społeczeństwa*

Leszek Kołakowski

Białoruska tożsamość ulega dynamicznym przemianom, od kiedy w sierpniu 2020 roku w Mińsku wybuchły antyreżimowe protesty. Rewolucyjny duch znalazł swoje odbicie także w filmach animowanych, ale tych tworzonych na emigracji. Filmy produkowane w państwowej wytwórni Belarussfilm powstają pod presją cenzury, artystycznie powielając sowieckie schematy kompozycyjne.

Animatorzy, którzy pracują za granicą, poza zasięgiem reżimowego gorsetu, tworzą nowoczesne i technicznie oryginalne filmy. Dobrym przykładem jest, zrobiony w Toruniu, film Eleny Voloznevny *Gwiezdny pył*. Do realizacji autorka wykorzystwała żelazny pył zmieszany z olejem samochodowym, poruszany za pomocą magnesu. Filmowcy-emigranci, z którymi rozmawiałam, są bardzo zaangażowani w kreowanie niepodległej, białoruskiej tożsamości narodowej. Świadczy o tym nie tylko

tematyka filmów, odzwierciedlająca bieżącą sytuacją społeczno-polityczną, lecz także ich przesycona nadzieją wymowa.

Czy białoruską animację należy poddać reanimacji, czyli wskrzeszeniu, ponownemu inkarnowaniu w świat sztuki filmowej? W moim odczuciu zdecydowanie nie. Znaczeniowo przedrostek -re, idąc za definicją słownika PWN, oznacza pewnego rodzaju odnowę lub kontrę wobec tzw. mainstream'u. Zatem re-animacją nazywam zjawisko twórczego parcia pod prąd białoruskich twórców na emigracji wobec produkcji studia filmowego Belarusfilm, kontrolowanego przez cenzurę. Będzie to próba refleksji nad tożsamością białoruskiego artysty-emigranta oraz jego dzieła, tworzonego na uchodźstwie oraz opowieść o zaangażowaniu animacji w służbie walki o białoruską tożsamość narodową. Posłużę się tu w mniejszym stopniu materiałem teoretycznym, bazując przede wszystkim na prowadzonych przeze mnie wywiadach wśród osób ściśle związanych z białoruską sztuką animacji filmowej.

Obecna sytuacja polityczna na Białorusi wpłynęła na ten artykuł i nie wszystkie wypowiedzi moich rozmówców mogą zostać opublikowane. Wprowadziłam zatem konieczne „cięcia” edytorskie, nie ujawniając nazwisk autorów.

Dywagacje na temat tożsamości w społeczeństwie wielokulturowym:

Termin tożsamość stanowi próbę odpowiedzi na pytanie: Kim jestem? (tożsamość indywidualna) lub: Kim jesteśmy? (w przypadku tożsamości zbiorowej). Wyznacza ona rodzaje relacji pomiędzy ludźmi i grupami. Odpowiedź na to pytanie jest dość skomplikowana, gdyż społeczeństwo europejskie cechuje wielokulturowość, rozumiana jako koegzystencja osób różnego pochodzenia, ras, wyznań i poglądów. Hanna Mamzer w książce pt. *Tożsamość w podróży. Wielokulturowość a kształtowanie tożsamości jednostki* definiuje ją sięgając do fenomenologicznej koncepcji Paula Ricouera. Tożsamość jest tu rozumiana jako *uwarunkowany społecznie i kulturowo proces, tworzonej przez całe życie struktury poznawczej człowieka, stanowiący o jego poczuciu stałości, spójności i odrębności. Według tej teorii, to zakorzenienie w danej kulturze warunkuje tożsamość danej jednostki. Jednak jako proces dynamiczny, trwający przez całe*

życie, ulega ona modyfikacji, zależnie od oddziaływania społeczno-kulturowego¹. Wpływ na tożsamość mają także wszystkie procesy zachodzące w kulturze, takie jak: *zanikanie granic, kurczenie się przestrzeni społecznej i wzrost tempa interakcji na skutek rozwoju technologii informacyjnych, coraz większa współzależność i integracja państw, społeczeństw, gospodarek i kultur (...)*². Wobec tych zjawisk stoi człowiek, który w etapie adolescencji ma stworzyć spójną koncepcję siebie.

W wielokulturowym społeczeństwie europejskim, jak twierdzi Zdzisław Mach, tożsamość jednostki istnieje w procesie nieustannego „negocjowania” *interpretacji świata w dialogu z partnerami życia społecznego. (...) W jeszcze większym stopniu konieczność kwestionowania i negocjowania tożsamości narzuca społeczeństwo ponowoczesne, w którym dekonstruowane bywa wszystko, co wyznacza ludziom i grupom trwałe miejsce w społecznym świecie. Wielokulturowość jest więc tylko szczególnym przypadkiem procesów przekształcania i negocjowania tożsamości w świecie zachodnim (...)*³.

Tożsamość nie jest zatem tworem stałym lecz ulega przemianom, a ich skala zależy od tego w jakim środowisku żyje człowiek i jaka jest jego mobilność. Jedną z głównych cech społeczeństwa ponowoczesnego są różne formy migracji. Migrujemy z powodów zarobkowych, realizując swoje pasje, studiując czy uciekając przed politycznym reżimem. Emigrant lub uchodźca najczęściej utożsamia siebie z kulturą rodzinnego kraju, miasta lub regionu, lecz pobyt za granicą zmusza go do zinterpretowania obcej mu kultury i aktywnego uczestnictwa w społecznej interakcji. Wraz z upływem lat poza granicami kraju ojczystego zmienia się także jego tożsamość – uzupełniona o cechy kulturowe kraju goszczącego. *Jak się okazuje, wszelkie formy mobilności nowoczesnej: migracja, podróż, wygnanie, wyjazd, ekspedycja powodują uczucie znalezienia się w stanie „granicznym”. Ceną migracji i wielokrotnych przekształceń*

1 Agnieszka Matusiak, fragment recenzji książki Hanny Mamazer *Tożsamość w podróży. Wielokulturowość a kształtowanie tożsamości jednostki*.

2 Tamże.

3 Zdzisław Mach, Przedmowa w: *Socjologia Tożsamości*, Tadeusz Paleczny, Oficyna Wydawnicza AFM, Kraków 2008.

społecznego świata jest nieustannie pogłębiający się stan bezdomności współczesnego człowieka⁴.

Tożsamość Białorusina w świetle filmów animowanych:

Tożsamość białoruska jest w chwili obecnej w procesie silnego kształtowania i wyodrębniania się z narzuconej przez reżim Łukaszenki wizji Białorusi. Aneta Prymaka-Oniszk, dziennikarka i publicystka, współautorka reportażu z Białorusi *Ojczyzna dobrej jakości* zeszlóroczne protesty uznała za pierwszy w historii, w pełni świadomy białoruski zryw niepodległościowy i protest przeciw sztucznie narzucanej wizji historii i kultury kraju. Jak wyznała mi w rozmowie Sofya Nabok, twórczyni filmów animowanych, reżim Łukaszenki stara się zdławić wszelkie przejawy folkloru białoruskiego, zastępując go artefaktami sowieckimi. Blokowane są strony internetowe o tej tematyce. Niewiele jest publikacji związanych z prawdziwą historią czy kulturą regionalną. W chwili obecnej Białorusin nie może, idąc ulicą, zanucić ludowej piosenki po białorusku, bo byłby to akt nieposłuszeństwa wobec systemu. Mieszkająca na Brooklynie Yulia Ruditskaya stworzyła filmową animację pt. *Magutny Boża. Modlitwa o Białoruś*. To obraz nawołujący do przestrzegania praw człowieka i respektowania wolnych wyborów, na kanwie pieśni religijnej o tym samym tytule. Film antycypował wydarzenia związane z wyborami w sierpniu 2020 roku. Odkąd pieśń *Magutny Boża* (czyli *Boże Wszchemogący*) stała się hymnem protestujących Białorusinów. W wielu białoruskich kościołach katolickich wierni śpiewali go po mszy. Po wybuchu protestów władza zabroniła wykonywania pieśni. Polski biskup na Białorusi Jerzy Kosobucki, po interwencji w jego kościele zamieścił wpis na Facebooku: Każda modlitwa niesie ze sobą niesamowitą moc i jest w stanie dokonać nawet wielkich cudów. Jeśli jakaś modlitwa ma wielką moc, to diabeł będzie z nią walczył z największą siłą i uczyni wiele przeszkód, aby ludzie nie korzystali z tej modlitwy... Dlaczego nie możemy śpiewać *Wszchemogący Boże?* Pytanie retoryczne...⁵.

4 Tamara Nehrub, Współczesne formy wyobcowania. Tożsamość w ruchu: migrant i nomada, w: <file:///C:/Users/HP/Downloads/1260-Tekst%20artyku%C5%82u-1762-2-10-20191214.pdf>

5 https://kresy24.pl/kosciol-na-bialorusi-sie-doigral-milicja-weszla-do-katedry-w-minsku/?__cf_chl_jschl_tk__=pmd_jZyDmkHD8jrER_ivyeQ_eQ-GE0teMr_Z_YgVC

O ile *Magutny Boża* jest muzycznym symbolem protestu wobec reżimu Łukaszenki, o tyle wizualnym symbolem stała się historyczna flaga białoruska składająca się z trzech równej wielkości pasów białego, czerwonego i białego. W 1995 roku Łukaszenko, na mocy referendum zatwierdził obowiązującą obecnie zielono-czerwoną flagę (zwaną przez młodych Białorusinów „kapuścianą zielenią”). W czasie letnich protestów historyczne barwy były obecne wszędzie. Flagi umieszczano na pomnikach i wysokich budynkach, aby milicja nie była w stanie ich sprawnie usunąć. Białorusinom nie wolno nosić ubrań w tych kolorach, za co grożą sankcje karne. W nowoczesnym, interaktywnym Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej w Mińsku flaga przedstawiana jest jako symbol faszyzmu, zdrady i kolaboracji. Muzeum jest obowiązkowym celem wycieczek szkolnych.

Symbol flagi stał się *lejtmotywem* innej animacji filmowej. Był to projekt, koordynowany przez Yulię Raditskaya, w który zaangażowało się ponad pięćdziesięciu animatorów z dziewiętnastu krajów. Najmłodszy z nich miał zaledwie 12 lat. *Wiesz, jak to się stało?* – pyta twórczyni filmu – *stworzyliśmy film w miesiąc, od chwili opublikowania listu otwartego do twórców animacji. Nadeszły filmy z Afryki Południowej czy Australii. Po wydarzeniach sierpniowych, ludzie potrzebowali wsparcia. To bardzo istotne dla mnie jako artystki, aby dać ludziom nadzieję przez moją sztukę. Wybrałam koncepcję biało-czerwono-białej flagi, ponieważ to historyczny symbol białoruski, który jest w stanie zjednoczyć ludzi. Jest to także dobry znak graficzny. Poza tym nie narzucałam żadnego tematu*⁶.

Każdy z twórców powołał do życia fragment animowanej kroniki dotyczący tych dramatycznych wydarzeń. Film nie mógł być pokazany w Mińsku, gdyż niesie w sobie przekaz: *Nie bójcie się, nie jesteście sami*. Animatorzy wplatali napisy w swoich ojczystych językach: *Dla naszych białoruskich przyjaciół* (Holandia) czy *Jesteśmy z Wami* (po rosyjsku). Film jest pokazywany na festiwalach animacji na całym świecie, także w Moskwie. na początku października tego roku film wyświetlono w Amsterdamie podczas koncertu charytatywnego *Music for Belarus*.

Yulia Raditskaya, pośród wielu animacji filmowych stworzyła także bardzo kontrowersyjny dla cenzury białoruskiej film *Bądźmy*

6 Wywiad z panią Yulią odbywał się zdalnie w języku angielskim, tłumaczenie autorskie.

Białorusinami, który w zaledwie pięć i pół minut przedstawia historię Białorusi od mitu założycielskiego aż po rok 1991. Montaż w filmie jest niezwykle szybki, akcja toczy się w rytm muzyki rockowej. W animacji pojawiają się historyczne białoruskie postacie, wśród których jest też Tadeusz Kościuszko.

Film Bądźmy Białorusinami – opowiada Julia – miał premierę w 2011 roku, kiedy to również odbywały się wybory prezydencki. Ówczesny minister kultury stwierdził, że nie powinien być on wyświetlany za granicą, bo nie zostanie zrozumiany. W trakcie premiery wkroczyła policja i aresztowała kilka osób, zmuszając resztę do opuszczenia sali. Nie było mnie wtedy w Mińsku. Mimo tego film cieszył się popularnością wśród widzów. Kolejny pokaz miał miejsce w urzędzie skarbowym, w czasie gdy petenci składali zeznania podatkowe. Ale były też momenty odwilży, kiedy władze pozwalały na projekcje tego filmu, od czasu do czasu. Nawet organizacje rosyjskie zgłosiły się do mnie, aby zrobić podobny film o historii Rosji.

Produkcje filmowe BelarusFilm:

Piotr Kardas, polski filmoznawca i współtwórca festiwalu Dialogi⁷ oraz O!PLA⁸ dostrzega pewne cechy charakterystyczne animacji białoruskiej tworzonej w rodzimym kraju: *To animacja historyczna, często biografie postaci historycznych. Ten model dominuje w produkcji, bo filmy mają kreować narodową tożsamość. Poznałem program studiów realizowany na Akademii Sztuk Pięknych w Mińsku, bardzo różnorodny, tak jak i filmy, które robią studenci. A potem, kiedy trafiają do Belarusfilm, produkcje robione są na „jedno kopyto”. Dobrze zrealizowane technicznie, ale według szablonu. A do tego studentom nie wolno zakładać własnych firm produkcyjnych.*

Sofya Nabok, absolwentka sztuki animacji na PWSFTviT mówi, że studenckie filmy są pokazywane na uczelni tylko raz, później trafiają do archiwum. Nie trafiają na festiwale. *Na Białorusi przyszła fala młodych animatorów, którzy próbują robić coś swojego lub współpracują z Rosjanami. Poza tym zbzikowaliśmy na punkcie kultury ludowej. Białorusini nie mają ukształtowanej tożsamości narodowej, to się zaczęło dopiero budzić.*

7 Polsko-Rosyjski Festiwal Filmów Animowanych „Dialogi”

8 Ogólnopolski Festiwal Polskiej Animacji

Powszechnie używany nie jest język białoruski, ale rosyjski. A władza promuje sowiecką kulturę ludową. Sofya mogła studiować w Polsce dzięki programom stypendialnym. Zdolni studenci mogą wyjechać za granicę, co nawet jest przez władze wspierane. Dzięki temu pozbywają się potencjalnie wrogich dla systemu Łukaszenki młodych ludzi.

Czy filmy animowane tworzone poza granicami Białorusi można nazwać białoruskimi?

Piotr Kardas: Filmy zrobione przez Białorusinów na naszych uczelniach uważa się za polskie, bo wiążące jest miejsce produkcji. Yulia Ruditskaya przy filmie animatorzy dla Białorusi wymienia Białoruś jako miejsce produkcji. Ale zrobiła go w Nowym Jorku. Żadnego filmu realizowanego w Polsce przez Białorusinów nie nazwałbym „białoruskim”. Natomiast Yulia jest niezależną producentką i twórczynią, jej filmy są białoruskie pod każdym względem.

Yulia Ruditskaya: Każdy projekt jest kompletnie inny. Film Modlitwa o Białoruś był produkcją własną, bez amerykańskich środków. Blisko połowa moich współpracowników to Białorusinia, a muzycy pracujący przy filmie przebywali wtedy na Białorusi. Nie podróżowałam po Ameryce z powodu pandemii. Ten film nie ma nic wspólnego ze Stanami Zjednoczonymi. Uważam siebie za Białorusinkę i mam pełne prawo nazwać ten film białoruskim.

Czy twórcy animatorzy białoruscy tworzący za granicą czują się Białorusinami?

Yulia Ruditskaya: Białoruś jest oryginalna pod względem kulturowym. Chcę, by ta wyjątkowość uwidoczniła się w moich filmach. Tworzę dla ludzi, którzy mieszkają na Białorusi, a kultura białoruska to dla mnie ważne źródło inspiracji. Czuję się Białorusinką z Brooklynu.

Sofya Nabok: Wychowywałam się na Białorusi od dziewiętego roku życia. Wcześniej mieszkałam w Rosji, u podnóża Uralu. Ale dojrzałość związana z utożsamianiem się z ojczyzną to dla mnie Białoruś i czuję się Białorusinką. Obecnie dużo młodych ludzi wyjeżdża za granicę, przesiąkając innymi kulturami. Przekłada się to na nowy język animacji białoruskiej. Mieszkam w Polsce, bo tutaj mam dużo możliwości współpracy. Inna część opozycji zbliżyła się do polskiego Kościoła katolickiego, bo prawosławny jest powiązany z Rosją. Białorusini hołdują przysłowiu mój dom jest wokół, a więcęj mnie nie obchodzi. Władza próbowała wykorzystać

to podejście, by łatwiej manipulować. Przytoczę jeszcze popularną białoruską anegdotę: Białorusin, Polak i Ruski siadają z zamkniętymi oczami na krzesło, na której leży pinezka. Polak podskoczył, bo boli, Ruski podskoczył, bo boli, a Białorusin siedzi i siedzi, mówiąc: A może tak trzeba?

Zmicer Waynowski

PROTESTY NA BIAŁORUSI -  GALERIA ZDJĘĆ



















